

Mieczysław F. Rakowski do stoczniowców Gdańska

**Nie można negocjować z ludźmi, którzy urządzają demonstracje uliczne,
bo władze odpowiadają za bezpieczne trwanie państwa polskiego**

WARSZAWA (PAP). Na wstępie swego przemówienia wicepremier poprosił o podniesienie rąk przez bezpartyjnych. 3/4 sali podniosło ręce...

Chciałbym — stwierdził na wstępie M. Rakowski — aby nasze spotkanie przebiegało w atmosferze, która towarzyszy rozmowom ludzi, którzy mogą legitymować się określonym poziomem kultury. Od dyrektora stołeczki slyszalem, że większość zebrana na sali to ludzie bezpartyjni, reprezentanci wszystkich wydziałów stołeczki. Mówię dlatego o tym, iż wczoraj radio Wolna Europa wydało następującą opinię: „pan wicepremier nie wykazuje zbytnej odwagi, bo ma przemówić tylko do 500 pięciolowców wybranych stołeczniców, którzy przybędą na spotkanie po okazaniu biletu, a więc przyjdzie swój do swoich”. To ja bym się bardzo cieszył, gdybym wszystkim, którzy są na tej sali mogli powiedzieć, że to są sami swoi, tzn. udzielając poparcia tej polityce, którą ja reprezentuję jako członek rządu.

Chciałbym zaznaczyć, że w Stoczni Gdańskiej im. Lenina jestem w tym roku już po raz drugi. Wtedy, kiedy byłem tu w marcu uczestniczyłem w spotkaniu z aktywnym partyjnym. Po wyjściu w czasie przerwy podszedł do mnie robotnik, stocznikowiec i powiedział: niech pan nie przyjeżdża tylko do partyjnych, niech pan porozmawia także z nami, bezpartyjnymi. Było to w marcu i obalecam tu, że tylko jak będę miał taką możliwość to przyjadę. Może jest na sali. Miał coś podobite bo dzień przed tym otarł się o budkę z piwem. Dlaczego o tym mówię, bo w ostatnim okresie, gdy rozszedła się wiadomość, że przyjadę do stoczni, to powiedzieli, że władza jest szalenie niepokojąca, że musi uciszyć, zredukować jakiś stopień napięcia który rzekomo istnieje. kraju. I w związku z tym Rakowski nawet musiał przerwać urlop i przyjechał do Gdańska. Oóż nie jest to prawda, było tak jak stwierdziłem, nosiłem się z tym zamiarem powtórne przyjazdu. Na sali jak było do przewidzenia jest kilkadziesiąt osób, nie mam możliwości zajrzenia każdemu do tego co myśli.

Przyjechałem tutaj — powiedział wicepremier — aby porozmawiać o porozumieniach i o wszystkich okolicznościach, które tym porozumieniem towarzyszyły i towarzyszą. Nie ukrywam, że pragnę swoimi racjami i argumentami dotrzeć do największej liczby ludzi, do tych którzy się wahają i tych, którzy stoja z boku. A może także i tych, którzy są dziś przeciwko nam nie tylko na tej sali. Ja myślę, że nie dotrę tylko do ludzi, którzy są zapiekli w swojej nienawiści, czy niechęci. Myślę, że ich uleczy czas, albo też nie uleczy. Zresztą w moim przekonaniu czas już leczy wielu ludzi. W tej sali podpisano przecież to historyczne porozumienie. Wybrałem w związku z tym, kiedy nadeszło zaproszenie ze stożnicy, wśród różnych propozycji, zaproszono właśnie tutaj odbyć się to spotkanie. Właśnie w tej historycznej sali. Przyszedając do stożnicy chciałbym jednocześnie powiedzieć, że spotykamy się w ostatnim okresie z takim zarzutem, iż władza nie chce rozmawiać z robotnikami. Wolą ją zachodnie tuby propagandowe, ale także u nas, w różnych miejscach Polski rozlegają się takie głosy. Mówię o tym na marginesie sw. ultimatum postawionego rządowi. Uważam obojętnie, że zarzut, że władza nie chce rozmawiać z robotnikami jest nieprawda, ponieważ rozmawiamy z robotnikami każdego dnia. Odpowiadamy fabryki i to odpowiadamy bez jakichkolwiek informacji. Możecie, jeżeli ktoś chce zapytać robotników „Waltera” w Radomiu, czy robotników z innych fabryk, fabryki metalurgicznej w Koninie. Nawet w prasie nie ma na ten temat często informacji. Rozmawiamy z robotnikami dlatego, że uważamy iż te rozmowy dają rządowi bardzo wiele, te rozmowy dają rządzącym bardzo wiele. Pozwalają przemyśleć wiele decyzji, czy też pozwalają po prostu przygotować taką czy inną decyzję w sposób jaki najbardziej odpowiada potrzebom i oczekiwaniom klasy robotniczej. Dlaczego wybraćten stożnicę? Czy tylko dlatego, że tutaj narodziło się jedno z ważnych porozumień? Nie tylko dlatego. Zdecydowałem się na przyjazd do stożnicy, ponieważ wiem, o czym wy dobrze wiecie, że stożnica nie od dziś wychodzą apele, wezwania do trwania w oporze, do urządzania demonstracji, słowem do tworzenia faktów, które mają świadczyć przed całym światem, że jutro Polska jest niepewna, mroczne. Zerują oczywiście na tym przeciwnicy socjalizmu. Prasa burżuazyjna np. od kilkunastu dni powtarza, że kraj jest w stanie wrzenia, że rozpoczyna się trudny tydzień, że następuje ponownie zaostrezenie sytuacji w Polsce. że Gdańsk wysuwa swe pazyry itd. itd. Polska po prostu musi pozostać krajem niespokojnym. Otóż nie przyjechałem po to, aby gasić jakiś pożar w Gdańsku, bo takiego pożaru nie ma. Tu w Gdańsku panuje spokój. Istnieje, co można sprawdzić, rytmiczna praca i nie tylko w Gdańsku. W całym kraju w tych dniach, trudnych niewątpliwie, lecz nie z uwagi na rocznicę, tylko trudnych w ogóle z uwagi na sytuację gospodarczą ciągle niedoskonałą, większość Polaków pracuje, zdecydowana większość, w sposób całkowicie normalny, rytmiczny. Powiedziałem na wstępie i jeszcze raz to powtórzę, że chciałymy dziś porozmawiać nie tylko o porozumieniach, lecz o wszystkich tych sprawach, które wiążą się z podstawami, o których wspominałem, jak i z naszymi bardzo często wspólnymi przeżyciami ostatnich trzech lat. Być może, że uda mi się to.

Zaczynamy jednak — stwierdził M. F. Rakowski — o tych dzisiejszych sprawach, od historii. Kierownictwo partii do której należą i rządu jest zwolennikiem istotnych, głębokich zmian w życiu społecznym kraju. Ja sam dawałem temu wyraz na długo przed sierpniem 1980 r., a wówczas kiedy doszło do robotniczego protestu, stwierdziłem, że jest on uzasadniony i że należy wyciągnąć z niego właściwe wnioski. Ale jednocześnie chce tu przypomnieć, że nawoływałem wówczas do rozsądku, umiaru i rozważ. Służył dowodami, 6 września 1980, kiedy jeszcze pracowałem jako redaktor, „Połityk” pisałem w tym piśmie, cytuję: „Konieczne i uzasadnione zmiany w polityce wewnętrznej muszą być całkowicie zgodne z wymogami bezpieczeństwa narodowego, nie mogą go ani przez chwilę naruszać. Polska nie kończy się na naszym pokoleniu. Tak więc wchodzimy w okres nielaty. Jeśli jednak mądrze pokierujemy swoimi sprawami, wykazemy rozsądek i umiar, to na pewno dźwignemy się, na pewno wyjdziemy z obecnego kryzysu jako naród wzmożeni moralnie i politycznie. Polska potrzebuje teraz nie tylko spokoju, potrzebuje odnowionej myśli politycznej, której celem musi być umocnienie socjalistycznego państwa polskiego. Myśl ta musi wzbogacać demokrację socjalistyczną, urealnici i rozszerzyć udział ludzi robotniczej, wszystkich pracujących w zarządzaniu gospodarką narodową i kształtowaniu polityki państwa. W twórczych poszukiwaniach powinniśmy unikać pozycji krańcowych. Idealizowania zarówno jednostek jak i całych grup społecznych. Potrzebny jest nam trzeźwy realizm, ponieważ wszyscy zdajemy stromy egzamin z odpowiedzialności za państwo polskie. W przeddzień ukazania się tej publikacji, tak się złożyło, wystąpiłem w Sejmie, bo wówczas odbywało się posiedzenie Sejmu. Powiedziałem wtedy z trybuny sejmowej, we wrześniu 1980 r.: „Jeśli mówię o silnym państwie, to nie mam na myśli państwa, którego dewizą jest „zamordyzm”. Nie. Nasze ludowe socjalistyczne państwo musi być państwem demokratycznym, musi być wspierane rzeczywistością, a nie wymuszona akceptacja mas, nie tylko klasy robotniczej, lecz również ofiarne pracujących rolników polskich i inteligencji. Ale musi to być także państwo wysoko zdyscyplinowane. Jego obywatel, musi zrozumieć, że istnieją granice ustępstw gospodarczych i politycznych. Państwo nie może bez końca ustępować pod naciskiem żądań ekonomicznych — podkreślił wicepremier — nawet uzasadnionych. Tak więc wszystkie strony uczestniczące w likwidowaniu konfliktu jaki powstał, powinny zdobyć się na wielki realizm. Wszystkie strony, tzn. rządowe, jak i rządzeni, jeśli to nie nastąpi, marne wystawiły sobie świadectwo przed całym światem, a przede wszystkim przed naszymi sojusznikami. Krajami socjalistycznymi, przed światowym obozem postępu. Cięża na nas obowiązki, które nie zamykają się w skali kraju, powinni pamiętać o tym także ci, którym rosną skrzydła i uważają, że nadziedził ci czas, w którym można zakwestionować trwałość socjalizmu na ziemiach polskich oraz kierowniczą rolę partii. I pozwólcie, jeszcze jeden tylko cytāt. Na VII Plenum Komitetu Centralnego 1 i grudnia 1980 r. wypowiedziałem się o „Solidarności” w taki oto sposób. Na jednym biegunie znajdują się miliony ludzi pracy, w tym także wielu członków partii, którzy zgłosili swój akces do „Solidarności”, ponieważ dostrzegli w niej silną zdolność do skutecznej obrony ich interesów. Na drugim biegunie „Solidarności” znajdują się wywołane w łoku zwirowało kształtującego się ruchu, zespo-

przywódce, otoczone doradcami, wśród których nie brak i naszych politycznych przeciwników. Z punktu widzenia dalszego rozwoju sytuacji politycznej i społecznej w Polsce, znacznie ważniejsza sprawa i pytaniem co przeważa w zespole przywódców „Solidarności”. Kurs na współdziałanie i współpracę z państwem, a więc także z partią oraz ich tradycyjnymi sojusznikami, czy też kurs na dalsze destabilizowanie i tak już trudnej sytuacji. Rozwój sytuacji w ostatnich trzech miesiącach prowadzi niestety do wniosku, iż ten drugi kurs do tej pory górował nad tym pierwszym. Stawiane ciągle nowych zadań, często na pewno uzasadnionych, podrywanie poszczególnych grup pracowniczych do coraz to nowych strajków, czynienie ze strajków sposobu bycia i życia, szeroka akcja ulotkowa, agresywne w treści i tonie wypowiedzi, często uderzające w partię i rząd — oto czym żyje Polska na co dzień. Jest rzeczą oczywistą, że utrzymywanie i wzmacnianie tego kursu, czy ktoś tego chciał czy nie, musiało otworzyć drogę dla zadań politycznych.

Powstają obecnie związki niezależne, samorządne a więc, gdzie jest „Solidarność” może ktoś zapytać. Gdyby temu komuś pytanie nie towarzyszyły te okrzyki, to bym powiedział, że pytanie, gdzie jest „Solidarność” jest uzasadnione. Otóż porozumienie gdańskie przelidowało, że powstana niezależna, samorządna „Solidarność” i powstała „Solidarność”. To pierwsze podeszło do realizacji porozumień, odpowiedź na to pytanie, w moim przekonaniu nie udało się nam wszystkim. Wbrew porozumieniu „Solidarność” nie była związkiem zawodowym, ani klasycznym, ani półklasycznym. W krótkim czasie z woli swych przywódców, często sterowanych przez doradców stała się organizacją czysto polityczną. W marcu 1981 r. na spotkaniu z kierownictwem „Solidarności” powiedziałem, również panu Wałęsie, cytując: „Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coraz więcej ogniw w „Solidarności” przekształca się w partię polityczną. Możeście panowie zaprzeczyć, ale fakty mówią o tej metamorfozie. Kraj jest zalany ulotkami, plakatami, gazetkami o treści antykomunistycznej. Jedna z gazetek napisała: „90 dni rządów Jaruzelskiego 90 szubienic dla prominentów PZPR. Trudno to nazwać partnerską postawą. Wiem, że takie dosadne określenia spotykają się wśród części moich rodaków również z protestem, że Rakowski znowu znajduje atakując „Solidarność”. Nie, jestem daleki od zjadłego atakowania. Ja również, podobnie jak miliony Polaków, liczyłem na „Solidarność”, na odegranie przez nią pozytywną rolę. Skoro tak, skoro to jest demagogia niby, to proszę bardzo, zajrzyjmy do kart historii Polski Ludowej, na których to kartkach zapisała się „Solidarność”. Chcę przypomnieć pewne fakty — powiedział więcpierem. Niechaj punktem wyjścia będzie 24 września 1980 r. Lech Wałęsa oświadcza na temat porozumienia: „Faktem jest, że niektóre postulaty były i są może zbyt wygórowane, ale liczyłem, że dobrą pracę będzie można je zrealizować”. Tego dnia zgłoszono do sądu wniosek o rejestrację „Solidarności”. W tekście statutu pominięto, zapisane w porozumieniu gdańskim sformułowania, że nowe związki nie będą pełniły funkcji partii politycznej, że będą przestrzegać zasad Konstytucji PRL, uznawać kierowniczą rolę partii i szanować sojusze. Ta odmowa wpłynęła do statutu tych formuł, była pierwszą próbą opozycji politycznej złamania porozumień sierpniowych. Za deklarowanie tych zasad sąd uważał za konieczne. I starał się, mówiąc otwarcie, wmusić te zasady kierownictwu „Solidarności”. Patrzymy teraz dalej 3 października, mimo że Rada Ministrów już 6 września podjęła decyzję w sprawie podwyżek płac, „Solidarność” zorganizowała w całym kraju jednogodzinny strajk pod pretekstem przypiszenia realizacji zadań placowych. Jak widać rozpoczynał się etap dobrej pracy, o której mówił właśnie przed chwilą Lech Wałęsa. Faktycznie była to, czyli ten strajk, demonstracja siły. W wydawniku „Corriere de la Serra” pisma włoskiego, 10 października 1980 r. przewodniczący związku oświadczył: „wiemy, że strajki nie ułatwiają realizacji planów gospodarczych, ale liczymy, że w przyszłości, przy naszym poczuciu odpowiedzialności i naszej aktywności położymy im kres. Przez cały październik trwał spór o zapis w statucie. Lech Wałęsa na spotkaniu w Jastrzębie, komentując ten spór powiedział: „Solidarność nie cofnie się przed żądaniami władz i nie dokona zmian w statucie”. Zapis pojawił się tylko w dodatku do statutu, 15 listopada sąd zarejestrował statut związku. Przedstawiciele KKP oświadczyli: „wszystki będziemy starali się uczciwie pracować, uczciwie dzielić efekty naszej wspólnej pracy”. Teraz zobaczmy jak to wyglądało w następnych miesiącach. 18 listopada w Szczecinie w 1980 r. odbyło się posiedzenie KKP. Mieliśmy kryzys gospodarczy, a właśnie na tym posiedzeniu wysunęto żądanie wprowadzenia wszystkich wolnych sobót w 1981 r. W tym samym czasie trwał strajk w Gdańsku, Katowicach, Warszawie, Częstochowie i w innych miastach. Część tych strajków ma charakter zastępczy. A więc do czego w tym czasie można sprowadzić istotę działalności „Solidarności”. Żądanie wyższych płac, krótszej pracy się przerywane strajkami. Powstaje pytanie, kto miał pracować na ten dobrobyt, którego żądano. 20 listopada Sejm wezwał w apelu do aktywnego wsparcia inicjatyw zmierzających do stabilizacji społeczno-gospodarczej. Strajk — stwierdza Sejm — jest

szkardzą, kłopotliwa metoda i nie powinno się w określonej sytuacji kraju do niej powracać. Był to jednak dopiero początek "rzucania grochem o ścianę". To rzucanie trwało także w następnych miesiącach. Na apel Sejmu nie było żadnego odzewu władz "Solidarności". Widocznie wspomniane poczucie odpowiedzialności było przez przywódców "Solidarności" inaczej rozumiane niż przez normalnych ludzi. 25 listopada kroniki odnotowały, że na terenie całego kraju nie ustają niepokoje. Strajkowały załogi 9 kopalń. We Wrocławiu doszło do strajków okupacyjnych gmachów publicznych. Pojawia się nowa metoda walki. Później będzie ona stosowana dość często. 2 grudnia 1980 r. obraduje VII Plenum Komitetu Centralnego. Przyjmuje ono odezwę, która głosi: Wszystkich Polaków ogarnia obawa o dalsze losy ojczyzny, o zachowanie dzieła zapracowanych owoców powojennego trudu, o dzień jutrzejszy polskich rodzin. Nadchodzi czas skupienia się wszystkich realizmnie myślących ludzi wokół wspólnej linii rozsadku i odpowiedzialności. Ciągające się od 5 miesięcy akcje strajkowe, podkreśla odezwę, rozprężenie i niska wydajność pracy prowadzi do stałego pogorszenia i tak niezmiennie trudnej sytuacji gospodarczej, godząc we wspólny interes i oddalając szanse wyjścia z kryzysu. Przecistawmy się dalszej eskalacji niepokoiów. Twórzmy front rozsądku i odpowiedzialności w obronie społecznej i gospodarczej odnowy.

Odezwa — podkreślił wicepremier — pozostała bez odpowiedzi ze strony kierownictwa „Solidarności”. 3 grudnia Rada Wojskowa, Ministerstwo Obrony Narodowej wyraziły głębokie zaniepokojenie sytuacją stanowiącą zagrożenie dla społecznego i funkcjonowania państwa. Utrzymywanie takiej sytuacji, stwierdzano oświadczenie Rady Wojskowej, nagraża obronność kraju. Takiem apeli i ostrzeżeń było w następnych miesiącach co najmniej kilkanaście. Nie czyniły one żadnego wrażenia na kierownictwie „Solidarności”, a przecieł głos wojska, powołanego do obrony naszych granic, powinien był jednak kogoś zmusić do zastanowienia się. Nic takiego kroniki naszych najnowszych dzieł nie notowały.

Zakończył się burzliwy rok 1980. Co przyniesie następny? Oto było pytanie, które zadawali sobie Polacy w noc sylwestrową. Nie trzeba było długo czekać. 7 stycznia KKP po prostu uchwale uznającą, a nie domagającą się — tu się po prostu tworzy fakt dokonany — że w 1981 r. wszystkie soboty będą dniami wolnymi. Wbrew uchwale rządu. Jak określić zatem to stanowisko? W cywilizowanym świecie — stwierdził mówca — istnieje tylko jedno określenie tego rodzaju sytuacji: postawienie się ponad prawem, ponad władzą państwa. Domaganie się krótszego okresu czasu pracy nie miało charakteru ekonomicznego, a zostało podrzucone przez opozycję jako postulat polityczny. Eksperti i doradcy „Solidarności” widzieli, że na wszystkie wolne soboty nas nie stać. Przecież to jeszcze nie Japonia! Dlaczego więc ponętnie przywódco „Solidarności” w tym kierunku? Chcieli, żeby gospodarka się rozleciała, żeby zapanał chaos i głód. Wtedy można sięgnąć po władzę krzycząc: patrzcie do czego doprowadziła komunizm za swoimi rządami!

16 stycznia — przypomniał dalej mówca — następuje nowa fala strajków. Na Wybrzeżu, w Kielcach, Szczecinie, Jeleniej Górze, Nowym Sączu, Rzeszowie, Ustrzykach. W Nowym Sączu, Rzeszowie, Ustrzykach trwa okupacja gmachów publicznych. 21 stycznia rozpoczyna się strajk studentów łódzkich, przy aktywnym poparciu władz „Solidarności”.

darności". Studenci uczą się strajkowania. Potem przyjdzie kolej na uczniów szkół średnich. No bo przecież wszystkie odnami ludności powinny być nauczyć się strajkować, a również młodzież, ta licealna, dopiero wkraczająca w życie! Bo to prawdopodobnie była nowa wykładnia demokracji!

30 stycznia zachodnioniemiecka gazeta „Wes Deutsche Rundschau” pisze: rzekomo zastrzeżenie kursu ze strony partii i rządu może „Solidarnosc” zapisać na swoje konto. Gdyby bowiem rząd ustępował przed żądaniami, groziłoby mu nieodwołalnie staczenie się po równi pochyłej w kierunku utraty władzy. Tak pisało o Polsce w owych dniach. A krople nad „i” postawił amerykański dziennik „Washington Post”, który stwierdził: cytując w zasadzie spór dotyczył długości dnia pracy, wszyscy jednak rozumieją, że w rzeczywistości jest to spór o władzę.

Na początku lutego nie ustają strajki. Premierem wybrany został gen. armii Wojciech Jaruzelski. Apeluje on o 90 spokojnych dni. Krajowa Komisja odwołuje planowaną na 13.02 akcję protestacyjną „Dzień bez prasy”. Chciałbym tu dodać — stwierdził wicepremier — że jeżeli teraz pan Lech Wałęsa mówi o tym, żeby nie kupować prasy w któreś tam dni, to po prostu odgrzewa skompromitowane pomysły.

8 marca w Warszawie „Solidarność” podjęła niewybredną akcję plakatuwa i ulotkowa o treściach antysocjalistycznych. W Szczecinie tamtejsza „Solidarność” uchwala specjalne oświadczenie kwestionujące prawo i sekretarza KC PZPR do występowania w imieniu Polski na Zjeździe KPZR. Tak oto wyglądała realizacja apelu o 90 spokojnych dni!

12 marca w biuletynie radomskim „Solidarności” pojawia się wezwanie: na lałachach trzeba wiszeć partyjnych! W Bydgoszczy 12 marca rozpoczyna się okupacja budynku ZSL. Okupację wspiera kierownictwo „Solidarności”. Tak więc apel premiera o 90 spokojnych dni został przekreślony już przed wydarzeniami w Bydgoszczy, które nastąpiły 19 marca. Tam odbyła się na sali Wojewódzkiej Rady Narodowej prowokacja zorganizowana przez Rulewskiego. Jednocześnie zaczyna się początek fali nowych strajków. 27 marca – 4-godzinny strajk ostrzegawczy, a na 31 zapowiadano ogólnopolski strajk powszechny. Uniknięto, tego strajku w wyniku podpisania w Warszawie przez mnie i Lecha Wałęsę tzw. porozumienia warszawskiego.

Dla Polski w tym czasie naczelną sprawą jest wydobycie węgla. 24 kwietnia Krajowa Komisja stwierdza, że system dodatkowego wynagradzania górników za dodatkową pracę w wolne soboty — a taki system wprowadzono chcąc nie dopuścić do spadku wydobywa węgla — jest formą cytuje: „porównania górników z innymi grupami zawodowymi”; i wypowiedziano się zdecydowanie za niepodjęciem pracy w górnictwie w wolne soboty. Teraz już widać wyraźnie, że celem strategicznym doradców „Solidarności” jest zadanie śmiertelnego ciosu władzy poprzez rozłożenie gospodarki. Ale czy rzeczywiste władzy, czy tylko władzy? 9 maja wobec żądań „Solidarności” zniesiono dodatek mobilizacyjny dla górników za pracę w wolne soboty. W efekcie do pracy zgłosiło się prawie o połowę mniej osób. Wydobycie 20 proc. tej ilości węgla, jaką wydobywano w inne dni tygodnia. Wkrótce „Solidarność” doprowadziła do tego, że musielismy zmniejszyć eksport węgla, a na nasze tradycyjne rynki weszli Amerykanie. To była klęska dla całej naszej gospodarki, zależnej przecież od dewiz. Brakowało energii elektrycznej, trzeba było wyłączać pracę zakładów i wyłączać światło ludziom. Pojawili się widmo niedogrzaną mieszkań następnego zimy.

12 maja nastąpiła rejestracja NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Tego samego dnia rozpoczęła się bunt więźniów we Wronkach. 21 maja na dworcu kolejowym w Opolu doszło do chuligańskich ekscesów. Niechcna postawa tłumu utrudnia interwencje Milicji Obywatelskiej, potem coraz częściej bandy, złodzieje i chuligani zrywali tłum na pomoc przeciwni milicji. Polska przestała być krajem bezpiecznym. Widmo anarchii przestało krążyć w umysłach, stało się już pojęciem realnym.

27 maja zabrakło w kraju 3200 megawatów w stosunku do potrzeb. Ograniczono pobór mocy dla przemysłu, zastosowano wyłączenia w miastach i na wsi. Członkowie „Solidarności” w elektrowniach odmówili pracy w soboty w godzinach nadliczbowych co było przecież niezbędne dla dokonania niezbędnych konserwacji i remontów. Pozostawiam te fakty bez komentarza. 9 czerwca Episkopat Polski zwrócił się do Krajowej Komisji aby nie podejmowała decyzji, które naruszają najwyższe dobro kraju i zagrażają dotychczasowemu osiągnięciom. Było to już po śmierci kardynała Wyszyńskiego, który jeszcze jesienią 1980 r. nawoływał do spokoju i do rozważi; a także do ograniczania żądań

Przydział KKP centralnie zaczyna lansować model reformy gospodarczej, polegający na tym, by własność ogólnonarodową przekształcić w grupowo-samorządową. Model ten przewiduje swobodną grę rynkową, czyli że ceny winny być ustalane wyłącznie przez rynek.

— W połowie czerwca przypomniał dalej wicepremier — w szeregach „Solidarności” stała się żądania wobec członków partii wystąpienia z PZPR. Żądania te nie mogły być kuźmiew domem! Co oznacza to hasło? Nie oznaczało dowodu na to, że „Solidarność” jawnie już posiada określona orientację polityczną. „Solidarność” staje się ruchem politycznym anty-PZPR-owskim, działającym pod szyldem związku zawodowego, a przecież w porozumieniu gdańskim zapisano coś innego, zapisano uroczystość o powołaniu nowych, niezależnych, samorządnych związków zawodowych. Mnogo się w tym czasie akcje wandalizmu i profanacji grobów i pomników żołnierz Armii Czerwonej. Robią to wyrostki! Wychowane na „solidarnościowych” hasłach, na ulotkach antyradzieckich.

Wobec powtarzających się na sali niewybredych wrzasków wciągając samą głupotę, wiceminister powiedział ironicznie: może umówimy się tak, że przymiemy japoński wzór: manowóz w Japonii można strajkować tylko raz w roku — w kwietniu. Kwiecień jest miesiącem strajków. Może więc umówimy się, że ja będę spoglądał na zegarek i co 10 minut będę robił przerwę, abyście mogli wykryć, czy ja, a potem będę dalej mówił. Wracając do przykładów aktów wandalizmu i profanacji pomników wdzięczności Armii Radzieckiej wiceminister mówił dalej:

Krajowa Komisja „Solidarność” milczy tu w Gdańsku, milczy w mieście, w którym przemysł stoczniowy żył z zamówień Związku Radzieckiego. Milczy na polskim Wybrzeżu, które wróciło do Polski tylko dzięki bohaterstwu Armii Radzieckiej i to wróciło nie w postaci pociągu i wody; nie milczy, to co najwyżej bąknie ktoś, że to się bezpieczeństwem robia. Tak jakby komukolwiek w Polsce, komukolwiek w rządzie zależało na tym, aby towarzyście radzieccy mieli o nas maksymalnie negatywną opinię. Oczywiście, że takie bąkania nie są wsparte żadnymi dowodami.

W tym samym czasie „Solidarność” portowców omaga się uchwalenia „karty portowca”. W portach jednocześnie przetrzymywane są ładunki towarów eksportowych, negocjacje w sprawie zwolnienia tych ładunków nie przyniosą żadnych rezultatów. Świat reaguje na to stwierdzeniem, że Polska przestała być godnym i wiarygodnym partnerem handlowym, że władze państwowe już niewiele mają do powiedzenia. 14 lipca 1981 r. — przypominał wiceminister — rozpoczyna się IX Zjazd PZPR. Jaką reakcją propagandystów „Solidarność” na ten zjazd? Plakaty z trupią czaszką, plakaty z pustymi talerzami i napisy — pierwszy wynik IX Zjazdu. Było to w okresie, gdy rząd zapowiedział, że wobec malejącego skupu mięsa konieczne będzie zmniejszenie kartkowych przydziałów mięsa. „Solidarność” natychmiast oprostowała tę decyzję. Powstałe pytanie w jakim celu, 25 lipca z inicjatywą „Solidarności” odbył się marsz głodowy ok. 5 tys. łódzkich kobiet. Na czele grupy szła dobrze odżywiona pani. „Solidarność” chcąc na siebie zwrócić uwagę otwiera nowy etap walki, wyprowadzanie ludzi na ulicę 1 sierpnia gen. Jaruzelski stwierdza, że nie spełniły się zapewnienia „Solidarności” o tym, że skrócono czas pracy zostanie rekompensowany wyższą wydajnością pracy. 3 sierpnia następuje początek okupacji ronda przy Marszałkowskiej w sercu Warszawy. Rozpoczyna się smutne widowisko, które trwa dwa dni. 6 sierpnia następuje zwanianie przez kierownictwo „Solidarności” rozmów z rządem. Jednocześnie odbywała się

marze głodowe w Krakowie, Tarnowie i Przemyślu. Strażki ostrzegawcze w woj. kieleckim, piotrkowskim, opolskim. W katowickim 4-godzinny strajk, 12 sierpnia w Gdańsku zakończyły się 3-dniowe obrady KKP. Uznano, że nie nadszedł jeszcze czas na konfrontację z władzą. A liczne głosy na posiedzeniu komisji takiej konfrontacji się domagały. Odrzucono pogląd, że „Solidarność” jest również odpowiedzialna za trudną sytuację w kraju. Odrzucono ofertę rządu o współdziałanie we wdrażaniu reformy gospodarczej, uznając, że nie jest to reforma na modłę „Solidarności”. Wystosowano apel do członków „Solidarności” o przepracowanie do końca roku 8 złotych sobót, ale pod warunkiem, że praca będzie organizowana wyłącznie przez „Solidarność” i „Solidarność” ma dysponować jej owocami. Czyli przejmować wytworzone dobra. Zadanie nieprawdopodobnie dziwacze w normalnych państwach. 26 sierpnia kolejne antykonstytucyjne decyzje władz „Solidarności”, kolejne postawienie się nad prawem. Krajowa Komisja oświadcza, że niezależnie od tego co postanowi rząd czy Sejm, „Solidarność” na własną rękę będzie wprowadzać swój model reformy gospodarczej, ogłasza konkursy na stanowiska dyrektorów i wprowadza kontrolę gospodarki żywnościowej. W związku z zapowiadana przez „Solidarność” akcja strajkowa w radiu i telewizji, rzecznik rządu oświadczył, że taka akcja polityczna wymierzona w podstawy systemu komunikowania się władzy ze społeczeństwem i system łączności z Układem Warszawskim, uznana zostanie za nielegalną i rząd zapowiadał użycie wszelkich dostępnych środków. 5 września następuje otwarcie pierwszego zjazdu „Solidarności”. Jakże były główne akcenty na zjeździe? Uczestniczył w nim wyłącznie przedstawiciele prawniczych związków zachodnich. Można by zastanowić się, dlaczego ci przedstawiciele prawniczych związków finansowali „Solidarność” i udzielili jej pomocy w postaci przysyłania materiałów do druku, czy też urządzeń poligraficznych. I można też postawić pytanie: jak to się działo, że kapitaliści dawali na to pieniądze gdańskim robotnikom. No, ale można tylko takie pytania stawiać, bo nie starcza czasu na rozwijanie tych niezwykle interesujących pytań.

Podjęto natomiast szereg uchwał, zawierających protest przeciwko różnym działaniom władz. Był to program, jeżeli ktoś to dzisiaj uważnie przestudiuje — na nie! Uchwalono też słynne postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej wzywające do jawnego nieposłuszeństwa wobec władz i wkroczenia, cytując: na trudna droga walki, jak to zrobiła „Solidarność”. Przesłane zjazdowi pismo przewodniczącego Komitetu ds. Współpracy ze Związkami Zawodowymi przy Radzie Ministrów, zostało po prostu odłożone na bok, przy czym nie zbierał się na niego. Na tym to zjeździe, niech sobie przypomina ci, którzy byli, z rzędu się kniło i z rzadem się już nie gadało. 16 września Biuro Polityczne, mojej parę stwierdziło, że przebieg i uchwały pierwszej części zjazdu „Solidarność” są jednostronnym łamaniem porozumień społecznych zawartych w Gdańsku. Szczególnie i Jastrzębiu. Zastąpiono je, cytując, ocenę Biura: programem politycznej opozycji. Pismo do ludzi Europy Wschodniej, stwierdza Biuro Polityczne, jest dobiegła prowokacja wobec sojuszników Polski. Na zjeździe „Solidarność” zwyciężyła linia budowania opozycyjnej partii politycznej, która jawnie postawiła sobie za cel przejęcie władzy przez zmianę ustroju społeczno-politycznego w Polsce. Te dobitne słowa oceny i ostrzeżenia zostały kolejny raz zlekceważone — podkreślił M. Rakowski. Zadufana w swoje siły i podjudzana przez ośrodki dywersyjne na Zachodzie opozycja polityczna, z coraz większym rozmachem wykorzystywała związek zawodowy, ale już tylko z nazwy, dla własnych celów, oddelch od rzeczywistych interesów klasy robotniczej. Teraz, dziś, Lech Wałęsa w oświadczeniu złożonym kierownikowi stożeczki, skierowanym do PAP pisze — nigdy nie stawiałem i nie będę stawiał na konfrontację a zawsze na argumentację i negocjacje. Przy dobrej woli można zawsze dojść do kompromisowych rozwiązań. Co się wtedy tego ostatniego zdania, ma on istotnie. Problem polega jednak na tym, że tej gotowości nie przejawiał związek pod jego kierownictwem. Przejawiał też gotowość organizując strajki i demonstracje uliczne. Jeżeli to była gotowość do negocjacji, to ja dziękuję za ten tryb negocjacji. A co się wtedy konfrontacji, to po prostu test to nieprawda. O konfrontacji zaczęto coraz częściej mówić w szerszych „Solidarność”. Ale idźmy dalej. Jest druga połowa września. Organizacje „Solidarność” w górnictwie — doradca organizacji solidarnościowej w górnictwie był pan Czartoryski — postanowili zbojkotować uchwały Rady Ministrów o dodatkowych zachętach za pracę w wolne soboty. 23 września, zapewne w ramach demokracji, w kopalni „Szczęśliwice” miejscowa organizacja „Solidarność” wywołała na taczach przewodniczącego związku brązowego — Matekne. 7 października zakończył obrady zjazd „Solidarność”. Ostrzeżenie i apel nie wzięło pod uwagę. Podjęto uchwały o bojkotcie sejmowej ustawy o samorządzie i przeprowadzeniu na ten temat samowolnego, krajowego referendum. Chodziło o pokazanie, że „Solidarność” jest już także z Sejmu niezadowolona i nie uznaje go, stojąc przed nim. W czasie zjazdu zapoczątkowano rozwiązywanie KS KSS KOR. Ponieważ, cytując: Jego rolę przejęła skutecznie „Solidarność”. Zjazd podjął uchwałę w sprawie ceni. będącą swoistym ultimatum wobec rządu. Na zjeździe o socjalizmie nie mówiono, słowo to nie znalazło się w programie związku; potem jeden z doradców powiedział, że zapomniało wiadac. Atmosfera na sali była określana przez licznych obserwatorów jako graniczna z antykomunistyczną histerią. Brytyjska agencja prasowa Reuters komentowała zjazd następująco: „Solidarność” wyłoniła się ze swego zjazdu jako opozycja wobec komunistów rządzących w Polsce.

14 października w kombinacie rolnym „Lubogóra” „Solidarność” zorganizowała strajk, żądając zdjęcia ze stanowiska dyrektora, który podjął szumną decyzję wobec pracowników. Strajk rozszerzono na całe województwo. Dzielne straty tego strajku wynosiły 140 mln zł. Tak wyglądała współodpowiedzialność za kraj i jego los! Blisko połowę województw — kontynuował wicepremier — ogarnęła w tym czasie fala strajków. Rozpoczęły się masowe strajki w zagłębiu siarkowym w woj. tarnobrzelskim. Strajki te kosztowały kraj dziennie 900 tys. dol., bo były uzyskiwano za eksport siarki każdego dnia. I ci ludzie, organizatorzy strajków, mieli wówczas również odwagę oskarżać rząd, że swą polityką pogarsza sytuację w kraju.

Krajowa Komisja „Solidarności”, wobec braku zgody rządu na powołanie tzw. „Solidarności Rad Gospodarki narodowej”, która miałaby kontrolować rząd i zastępować Sejm, postanowiła zorganizować 28 października jednodniową strajk ogólnokrajowy. Wzięło w nim udział na 7 mln zatrudnionych na pierwszego Zmienia. 2 mln osób. Według badań sondażowych samej „Solidarności” strajk ten otrzymał najmniejsze poparcie ze wszystkich organizowanych dotąd przez „Solidarność” akcji. Był to widowny znak, że społeczeństwo ma dość strajkowej anarchii.

30 października Komitet ds. Związków Zawodowych wysłał telex do Lecha Wałęsy, informujący go o sytuacji strajkowej w kraju w dniu 29 października. Liczono tylko strajki o charakterze ciągłym. Strajkowało 5 kluczowych zakładów Żyrardowa, nadal wszystkie zakłady woj. zielonogórskiego, podobnie było w woj. łubuskiej, strajkowało w przemysłach MPK i jarosławskim MPK, jedna z fabryk Szczecina, w katowickiej kopalni węgla „Sosnowiec” w Zakładach Transportu Kolejowego w Rybniku; w Radomiu strajkowała Wyższa Szkoła Inżynierska, w Warszawie Uniwersytet Warszawski. Informacje te nie wywołały żadnego echa ze strony „Solidarności”. W okresie od 5 listopada do 26 listopada — czyli w ciągu 21 dni — proklamowano w Polsce 150 bezstrajkowych strajków, 196 razy ogłaszano gotowość strajkować a 105 razy zapowiedziano strajki. Oprócz tego 50 razy doszło do rozruchów różnego rodzaju. W listopadzie dochodziło w całym kraju przeciętnie do 20 różnych akcji dziennie. Przypominając te fakty wicepremier postawił pytanie: Czyżby te przerażające dane kryły w sobie propozycje współpracy, propozycje partnerskiego współdziałania? Nie! To właśnie był kurs na konfrontację, bo konfrontacja to przecież nie jest tylko wyjście na ulicę i bicie się z milicją, na co się zanosilo wtedy. Bo przecież powoływano już wówczas grupy bojowe. Stawiam pytanie: Czy strajki były żywiołowe? Być może niektóre tak. Ale większość nie. Pamiętam wypowiedź Lecha Wałęsy. Jedni jeżdżą po kraju i organizują strajki, a

(CIĄG DALSZY NA STR. 7)

ZYWOŹY KROKÓW FELIKS KIRYK

„...całe życie wzdychał do osiągnięcia
w Polsce władzy monarchicznej...”
(J. Długosz, Dzieła II, s. 200)

Imię młodszego syna Kazimierza Sprawiedliwego, a brata Leszka Białego, wzięło się na wieki ze sprowadzeniem Krzyżaków do Polski. Rolę bohatera negatywnego w dziejach naszego rozbięcia dzielnicowego wyznaczyło mu nie tylko zainstalowanie w ziemi chełmińskiej zakonu rycerskiego NMP lecz także szereg innych decyzji błędnych, tragicznych wyroków i polityka skierowana na cele nieosiągalne.

Konrad Mazowiecki jest w naszej historii postacią nie tylko negatywną lecz także tragiczną. Nie wiadomo po kim odziedziczył naturę przewrotną, wiarołomną, skłonną do okrucieństw i zbrodni, a nie znojącą skruchy i pokuty. Stanowił pod tym względem zupełne przeciwieństwo opowiadającego o spokojnym ojcu, czy też dobruśniku, otyłego i gustującego nadmiernie w konsumpcji piwa, chociaż nie pozbawionego zdolności i szerszych horyzontów, rodzonnego brata. Był od niego młodszym prawdopodobnie tylko o rok czyli przyszedł na świat ok. 1187 r. Przedwczesna i nagła śmierć oca w maju 1194 r. podczas biesiady na Wawelu, osierociła obu chłopców, pozostawiając staranie o ich wychowanie i zaopieczanie matce Helenie, a także niezbyt młodym stryjowi Mieszkowi Staremu i innym starszym Piastowiczom. Po porozumieniu się z Mieszkim Starym w 1198 r., na mocy którego książę ten wszedł w posiadanie stolicy krakowskiej, księżna Helena przeniosła się z dorastającymi synami do Sandomierza, skąd zarządzała w ich imieniu dzielnicą sandomierską i mazowiecką, wyręczając się w rządach wiernym komesem Goworkiem.

Pozostawał w cieniu starszego brata, Leszka Białego, który łagodził surową i nieobliczalną naturę Konrada oraz umiał uczynić zeń współpracownika lojalnego i sojusznika niezawodnego. Śmierć Mieszka Starego w 1202 r. otworzyła widoki na usamodzielnienie się obu synów Kazimierza Spra-

KONRAD MAZOWIECKI

wiedliwego. Po nieudanej próbie objęcia rządów w Krakowie, gdzie za poparciem możnych zainstalował się na krótko Władysław Łaskonogi, Leszek Biały musiał zadowolić się dzielnicą sandomierską, zaś Konrad przejął miasto Mazowsze i Kujawy. W 1205 r. obaj bracia znaleźli się w obliczu najazdu Romana książęcia ruskiego, ale dzięki ścisłej współpracy rycerstwa i nienaganemu dowodzeniu Krystyna wojewody płockiego, wojska napastnika zostały pod Zawichostem nie tylko pobite, lecz także on sam stracił w bitwie życie. Jako wotum dziękczynne za zwycięstwo w bitwie, w której stronił Leszka i Konrada nie dawano szans, ufundowali oni ołtarz św. św. Gerwazego i Protazego w katedrze wawelskiej. W 1207 r. Konrad wszedł w związek małżeński z Agafią, córką Świętosława książęcia włodzimierskiego i z tego powodu zapewne upomniał się o swoją ojcowiznę; domyslać się moż-

na zatem, że obaj bracia sprawowali dotąd rządzą wspólnie. Na jeździe w Sandomierzu tego roku przekazano mu Mazowsze, Kujawy i ziemię dobrzyńską. Z bratem Leszkiem Białym, który objął przed 1206 r. także dzielnicę krakowską, prowadził Konrad aktywną politykę ruską, popierając rządy Romanowiczów we Włodzimierzu i w Haliczu. Należał także do zwolenników włączenia z Łaskonogiem Henryka Kietlicza arcybiskupa gnieźnieńskiego i opowiedział się za jego reformami kościelnymi. Przyłączył się do nadejmu krakowskiego na rzecz Kościoła w 1210 i 1215 r., poparł też misję mnicha lekheńskiego Chry-

stiana w Prusach, łącząc z jego działalnością wielkie nadzieje na chrystianizację plemion pruskich i podporządkowanie ich ziem księstwu kujawsko-mazowieckiemu. Wyniosł Chrystiana rychło na biskupstwo chełmińskie (1216) i uposażył jego katedrę nadaniem przeszło 100 wsi w ziemi chełmińskiej. Nie potrafił jednak utrzymać nad biskupem Chrystianem kontroli i nie przeszkodził mu w usamodzielnieniu się. Mimo znacznego wysiłku zbrojnego i nakładów materialnych bilans polityki pruskiej, którą Konrad prowadził wspólnie z bratem Leszkiem Białym i Henrykiem Brodatym nie był dodatni. W latach 1218–1219 Mazowsze, Kujawy i ziemia chełmińska zostały porażone ciężkimi najazdami pruskimi. Wielu przyjuje za Janem Długoszem, że owe inwazje pruskie ułatwiła bezzadność Konrada, który pozbył się w 1217 r. w sposób nader okrutny wojewody Krystyna, dotychczasowego skut-

eznego obrońcy granic Mazowsza i Kujaw. Powód stracenia wojewody nie jest bliżej znany. Domyslać się niekiedy, że stał on może na czele jakiegoś rokoszu możnych skierowanego przeciw księciu. Długosz natomiast podał, że przyczyną wybuchu wściekłości Konrada było wytykanie księciu przez wojewodę gorszącego trybu życia, a także zawiść księcia w związku z sukcesami wojennymi Krystyna. „Ten bacząc w księżcu swoimi Konradzie bezkarnie i zbrodnie obyczaje, które wiodły go do wielu sprośnych i haniebnych czynów, począł mu ... wyrzucać je i naganić... Nie ścierpiał Konrad tak zbawienych przestróg, a umiastował się szaleem występny, rzeźnionego Krystyna wojewodę mazowieckiego, który jego sławy i dobra tak gorliwym był obrońcą i zachowawcą, a w młodości nauczycielem, przewodnikiem i mistrzem, kazał uwieźć i do ciemnej wtroczyć turmy”. Niestety, represje księcia na tym się nie skończyły, gdyż podrażniony namowami złych i niekierownych doradców i zawistników Konrad rozkazał wojewodę osłepić, a następnie stracić. „Stad poszło — napisał dalej uczony kanonik krakowski — że gdy Prusacy ustawicznymi napadami ziemię jego niszczyli i plądrowali bezkarnie, przymuszony był wezwać do pomocy Henryka księcia wrocławskiego”.

Najcięższy najazd pruski na dzierżawę Konrada nastąpił w 1220 r., podczas którego książę mazowiecki poniósł kolejną porażkę i zwrócił się znowu o pomoc do księcia śląskiego oraz do brata Leszka Białego. Wspólne ekspedycje zbrojne na ziemię pruską przeprowadzono w 1222 i 1223 r., ale ich rezultaty były mizerne, zwłaszcza że podczas ostatniej doszło nawet do masakry rycerstwa małopolskiego. Uwagę sojuszników Konrada w wojnie z Prusami zaczął przyciągać nadto konflikt księcia Władysława Łaskonogiego z Władysławem Odonem i Świętopełkiem gdańskim, odsuwając problem pruski na plan dalszy. W tej sytuacji stał się aktualny projekt sprowadzenia i osadzenia na pograniczu prusko-mazowieckim zakonu rycerskiego, którego pomysł podrzucił księciu mazowieckiemu Henryk Brodaty.

Wybór padł na Krzyżaków, którzy w 1211 r. zostali ściągnięci z Ziemi Świętej i osadzeni przez króla Andrze-

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

„Pan Andrzej znał tyle ślicznych bajek. Były inne od wszystkich, które dotychczas znała. Nie o smokach i zaklętych księżniczkach, lecz o ludziach dzielnych, którzy kochali się wzajemnie, walczyli ze złym losem i zwyciężali w tej walce”.

Zwyciężali? Bohaterka książki Jadwigi Ruth Charlewskiej „Dziewczynka spoza szyby” zwycięża swoje kalectwo dzięki dobrym, mądrym i mocnym ludziom, którzy pomogli jej uwierzyć w siebie. Gdyby nie oni siedziałaby nadal w swoim łóżku, poddając się bezwolnie zabiegom mamy i naciągając pocutem izolacji i niepotrzebności. Wokół niej powoli urosła opinia „dziewięć”. A ci, którzy stanowią anonimowy tłum odsuwały się od niej, żeby się nie zarazić jej cierpieniem. Elżbieta, bohaterka książki Charlewskiej spotkała jednak w swoim otoczeniu rówieśników z wyobraźnią i sercem. Potem — pana Andrzeja. Prototypem tej postaci jest autentyczny powstaniec. W sierpniu 1944 stracił nogi, ale nie zrezygnował z czynnego życia. Pod jego wpływem Elżbieta zaczyna rozumieć, że jej krucha i bolesna kondycja może stać się szansą. Bardzo trudną, ale jednak szansą! Życie niedołatwe, bezsilne, bezradne można zmienić, trzeba tylko trochę odważyć i aż heroicznego wysiłku. Choroba nie może stać się czymś, co uniemożliwia, nie pozostawiając nic pozytywnego. Andrzej tłumaczy Elżbiecie mocującą się ze swoim kalectwem: „Twoim zadaniem jest nie mazgać się. Masz powody do radości. Przede wszystkim oczy. Widzisz niebo, drzewa, gwiazdy, cały świat. Pomyśl — są ludzie z białymi łaskami. Tych ludzi otacza wieczny mrok. Oni zaś także chcą żyć”.

Ile w tym wszystkim uroku pokrewnego czarowi, jaki w swoim czasie roztaczała książka o Pollyannie. Jakże nam teraz brak takich książek. Opowieść Ruth Charlewskiej wywołuje się z tego nurtu pisarskiego, który tak bardzo jest niezbędny w wychowaniu wrażliwości. Dlatego „zaczęto” ją w szkolnych i wczasowych bibliotekach. Nieodmiennie budzi niedość u młodych czytelników: jakie są dalsze losy Elżbiety? Czy — przekazana w troskliwe ręce Profesora — zdola doprowadzić do szczęśliwego końca żmudny proces rehabilitacji? Wczoraj pierwszy raz stanęła o kulach, a nawet przeszła parę kroków. A jutro? Czytelnicy, podobnie jak ów Andrzej w zakończeniu książki, podrażniają uśmiechem poprzez kilometry oddalenia małą, odważną dziewczynkę. Chcą jej dodać otuchy. Pytają: co dalej? Czy otrzymamy drugą część książki?

Z tym pytaniem zwracam się do autorów. — Chyba. Jak będę żyła — odpowiada z wahaniem. Ileż własnych doświadczeń zamknęła w opowieści o Elżbiecie. Czytelnicy domagają się wznowienia „Dziewczynki spoza szyby”, a tymczasem druk złożonych w Wydawnictwie Literackim wierszy dla dzieci „Bajki, nie-bajki” jak wolno dojrzał! Umowa podpisana tak już dawno i ciągle brak to farb, to kleju. — Ja już chyba nie doczekam tej książki — mówi pani Jadwiga ze smutkiem.

I tak powoli, powoli zgłębiając tajemnice choroby, która niekoniecznie musi stać się przyczyną duchowego opuszczenia, wracamy w pokłady czasu. Staram się uzyskać odpowiedź na pytanie czy autorka książki o losach Elżbiety Janickiej zwyciężyła w swoim życiu na podobieństwo swej małej bohaterki. I tak powstaje Inna opowieść. O życiu dorosłym, doświadczonym przez wojnę i kalectwo.

— Nie lubię mówić o sobie — zaczyna starsza kobieta. — W moim życiu nie się nie zmienia. Każdy dzień jest podobny do poprzedniego. Bardzo dawno minęło dzieciństwo i park w Białymostku, pełen zawiłców. Kobieta opowiada o koleżankach, z którymi biegała po całych dniach. Potem warszawski Zolibz. Przez jego spokojne uliczki przewinęła się jej młodość. Współpracowała z „Kuznią Młodych”. Wspaniali przyjaciele: Alina, Adam, Józek, Roman nie żyją. Dom zabrała wojna. Ona też przyniosła kalectwo.

Pani Jadwiga chowa się w milczenie. Wolałaby nie tłumaczyć, jak trudno wrócić do szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, gdzie ją za-

stało powstanie. Ostatni raz odwiedziła ją tam Alina Wiewiórska. Była w panterze i z lilowymi groszkami. Śliczna i młoda. „Tyle ja widziałam”. Zginęła na placu Napoleona. To ona umieściła przyjaciółkę na neurochirurgii, gdzie miało być operacja. Podobno zabieg się udał. Doszło nawet do próby chodzenia. Ale przyszedł czas pogromu powstania i do szpitala wdarli się wściekli ludzie. Zrzucili kalekę ze schodów. Czołgała się na kolanach w stronę izby przyjąć — to pamięta — Biagała o podwiezienie. Dokąd? Była dalej od tych okropności.

JESZCZE CIENIEJ TEJ WOJNY

Potem z grupą chorych i personelu szpitala czekał pod karabinem maszynowym na ewakuację. Droga przez miasto. Biblioteka się pali, pusto, dym, zaduch ruin. Gdy przyjechała do Milanówka, księżka świeciła, wielki księżka nad łaskami, i widać było dym nad Warszawą. Wtedy pierwszy raz się rozplakała, a trzeba wiedzieć, że rzadko płacze.

owczarek, wielki przyjaciel. Kto chce poznać jej wspaniałe zalety przeczyta się regium dla psa w „Dziewczynce spoza szyby”. Kaja przedzierzgała się tam w Morusa i w procesie dochodzenia dziewczynki do zdrowia stanowi krok milowy.

Jakie to dawne lata. „Byliśmy bardzo samotni. Ja moja rodzinę straciłam podczas działań wojennych, rodzina meza nie żyła, a ja miałam dziecko, to byłam kaleką. Jego siostry, choć mieszkają w tym samym mieście nie odwiedzają nas wcale. I taka sytuacja trwa już przeszło

36 lat. Z początku było mi bardzo przykro i ciężko, teraz zobojeźniałam. Ludzi się nie zmienia. Nie rozumieją, że swoim nieopatrzonym postępowaniem mogą wyrządzić komuś niezawinioną krzywdę”.

W mieszkaniu urzęduje teraz kociątko. Nazywa się Daszka. Strasznie wojuje. W głosie pani Ruth niezmierzona czułość, gdy mowa o



Fot. Archiwum

Reportaż EWY OWSIANY Barwa konkretniej godziny

Długo by o tym mówić. Zostały powstańcze wiersze „Jeszcze płonie tamten sierpień”, albo „Na pierś waszą nie kładli orderów”. Zacytowałam. Słowa są tuż pod warstwą pamięci, wspomaga je wyobraźnia, w której ci — powstania jeszcze idą. Bez wawrzynów, bez mow powitalnych, ani ocy mi nie śmieją się do nich, ani sztandary nie chyla.

„Ślicznie długą utrudziła drogę
Na wędrowniki zatrzacone w świat
A na drodze tej nie było nikogo
Rozmawiać nie zakwitł wam kwiat.
Został po was tylko płacz matozyny
Został po was tylko rozpęd wozów
Młoka wstąpi, cierpienie bez winy
Grób samotny i drewniany krzyż”.

Po powstaniu warszawskim wyładowała w Krakowie. Tu poznała swego przyszłego meza w akademiku przy ul. Reymonta. Mieszkając w Nowjocie studiowała polonistykę. Miała już wtedy prawostronny niedowid, tak że poruszała się z trudem. Co na to miał? „On miał trzydzieści lat, ale nie bał się ciężaru jaki mu spadał na barki razem ze mną. Pracował, ja też zarabiałam wierszami i artykułkami, zamieszczanymi w czasopiśmie. Jakoś żyło”.

Dostała wózek inwalidzki na dzwignię. Pierwszy spacer — okropność. Zdawało się, że przechodnie reagują litością. W nocy długo płakała do poduszki. Przeszło. Potem jeździła przy pomocy meza do kościoła, kina, teatru i na najchętniej poza miasto, Lasów Wolski. Wola Justowska czy rozległe tereny, gdzie obecnie wybudowano osiedle Widok, w którym mieszka — stanowią też wypraw. Towarzyszyła im Kaja —

stworzeniu. Wnosi życie w cztery ściany pokoju, który stał się jej całym światem. Przemieniał czas, kiedy można było chodzić z Kają na spacer. Przemieniał też czas, kiedy ona zajmowała się domem Łazika po pokoju na czworakach, na kolanach, na krzesłku kulowym, bo o własnych siłach nie zdolała. Ale sprzątała, myła podłogę, gotowała obiad. Pewnie komus wyda się to nieprawdą, ale niech wie, że przy odrobinie dobrej woli można wiele. Myślała, że poprzez ruch zahamuje ogarniający ją bezwład. Potrafiła sama przejechać na wózek inwalidzki dookoła Plant, albo do ulicy Łubiec po Broniówką. Przeważnie po jeździłach, czasem o krok od ciężarówki albo do tramwaju. Nie bała się wtedy jeszcze niczego. Ale wolała jednak, kiedy towarzyszył jej meż. Wtedy wymagalne, wyfiokowane panie nie robiły uwag w rodzaju: „po co taka kaleka wózy się po mieście, lepiej by to siedziała w domu”. Autentycznie! — znika głos pani Jadwiga, i jest w tym żniżeniu bardzo dużo wyrozumiałości i rezygnacji.

Poza tym „przyplątało” się serce, toteż po każdym większym wysiłku ładowała w szpitalu na kilkudniowy pobyt. To Nowa Huta, to Narutowicza, to klinika profesora Aleksandrowicza Tlen, zastrzyki.

I ludzie. Ich twarze wędrują teraz przed chorą wywołując uśmiech:

— Przeważnie lekarze i siostry opiekowali się mną troskliwie. Takich ludzi jak profesor Julian Aleksandrowicz, Julian Blicharski, Józef Stanowski oddanych bez reszty choremu spotyka się rzadko. Zresztą wielu, wielu innych okazywało mi serce i współczucie. Choćby cały prawie personel, z którym trzeba stykać się co ty-

dzień w Szpitalu Narutowicza. Wszyscy tacy zyciwieli Począwszy od doc. Jana Krakowskiego, dr. Jana Biedy, lekarzy: Barbary Madejowej, Jacka Pawlaka, Leszka Byrskiego, Kazimierza Płacka, Janusza Pabiana poprzez wszystkie siostry z Władzia Kruźców i Teresą Jamorok na czele. A na pogotowiu jak mnie wyszyły otaczała opieką. Dyspozytorzy, kierownicy, sanitariusze, już się znamy, przyjeżdżają po mnie, na pół godziny przed terminem...

Ale zdarzało się też, że niektórym przedstawicielom służby zdrowia zaważała SM — skleros multiplex chorą. Słyszała mówione półgębkiem zdania, że niepotrzebnie zaważać, bo teraz łóżka są bardzo potrzebne, a z niej już i tak nie będzie. I tak nie będzie chodzić normalnie. Na salach też bywało różnie. Jedne pacjentki zdobywały się na życiwy uśmiech, ale bywały i takie, które dokuczały i drwiły, gdy z trudem gramoliła się z łóżka na wózek, żeby udać się do łazienki czy posiedzieć w świetlicy. „Nie zapomnę chwili, kiedy cała spięta ze wstydu na kolanach wyzłaziłam na wózek, a profesor Aleksandrowicz szedł korytarzem i odezwał się do mnie jak do normalnego człowieka”. Potem z mądrym przy Czarnowiejskiej małżeństwo przeprowadziło się do pokoju sublokatorskiego przy Alejach. Trzynastą lat koszar. Serce nie wytrzymało. Nie było tygodnia bez pogotowia. Próbowali pisać, nie styśnię, nie reagować. Ale pisać lewą ręką to cały problem przy niedomodzie wieńców. Kilka stron dziennie, a potem cholerna zmęczenie. Tak narodziła się książka „Dziewczynka spoza szyby”.

— Pewnie w domu była „hosanna”? — Oczywiście. W dniu, kiedy od Wydawnictwa Literackiego dostałam egzemplarz autorski wybrałam się do kina.

— Pamięta Pani co to był za film? — „Rozwód nie będzie”. Ale to nieważne, ważne co potem...

Był tuks, mokro, poślizg. Na jej wózek najeżdżała taktykowska Z krwotokiem i potłuczonym kregostupem pogotowie zawiozło panią Jadwigę na ostry dyżur chirurgiczny do Nowej Huty. Dopiero w maju wróciła do domu. Czy urozumieli te rozmowy wierszem z grubej teki? Jest.

„I może me oczy zmęczone utoną
Wśród białych obłoków na nieba błękitne
Pomimo że będzie najbardziej zielono
Nie mogę zapomnieć jak trudne jest życie”

Nie, nie mogła zapomnieć. Przy doznany szoku pojawiły się większe przykurcze spastyczne i co gorsza — strach. „Już nigdy nie wyjeżdżałam sama. Zaczęłam się panicznie bać aut i tramwajów. Serce również wysiadło. Na leki zagraniczne musieliśmy „opłacić” połowę domowej biblioteki, a książki były jedynym naszym luksusem. Kupowaliśmy je kosztem wielu wyrzeczeń”.

Co wtedy poszło z domu? Cały Remarque, Sigrid Undset, wiersze Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej i wiele innych.

Maż przy dwu fakultetach zarabiał niewiele. Został członkiem spółdzielni mieszkaniowej. Na przydział czekał 13 lat. „W międzyczasie odeszła na zawsze Kaja. Otruli ją »dobry ludzkie, a była taka moja i kochałam ją bardzo”. Zupełnie jak Elżbieta Janicka swego Morusa. I ona chciała mieć takie zwierze, żeby ją kochało i żeby smutno mu było bez niej. Niestety to Kaja zostawiła ich w smutku.

Dostał mieszkanie M-2 w osiedlu Widok. Cieszyli się, że wreszcie odetchną. Jednak nie na długo. SM robi postępy. Blokują w organizmie najważniejsze organy. Osmi rok miła jak trzeba leżeć bez nadziei na odmianę. Wyjątek stanowią parogodzinne wyjazdy pogotowiem do Narutowicza. „Przez okno karetki widzę kobiety młode, piękne, roześmiane. Ja nawet uścisnąć bez bólu nie mogę. Ale już to dobre, że można patrzeć na świat z okien karetki. Tylko czemu one wszystkie z szybanami zamalowanymi tak wysoko? Tak się cieszą jak jadę zwyczajnym autem. Widac korony drzew, z których najpiękniejszy jest klon chyba, taki złocisty, kiedy przyjdzie jesień...”

Maż urządził pani Jadwigę kącik, gdzie w zasięgu ręki ma telefon, radio, magnetofon i ulu-

bione książki. „On właściwie nie ma własnego życia. Dawniej po pracy tylko do domu i bez mnie nie ruszył się nigdzie. A przecież był młody, lubił góry i dalekie wycieczki. Mówił: »zawiażam ci los. On na to »Jestem szczęśliwy z tobą». Postarał się, posiwiał, przerażał go czas — podejmuję pani Jadwigę po chwili milczenia. — Od kilku lat ma rentę inwalidzką. Cierpliwosć na niezmordowana. Jest najlepszym opiekunem. Często w nocy budzę go o herbatę, o basen o przewrócenie na bok. Gdyby go zabrakło — zostanie mi tylko zakład dla przewlekłych chorych”.

Westchnienie ciężkie jak chmura gradowa. Odcień ironii w głosie: „Nikt nie czekałby się z kadłubkiem”, bo to też prawda — znowu westchnienie. — Leżę jak nieruchomy posązek.

Po chwili: — Jestem spokojna drętym spokojem przemijania. Dawniej był ból. Kochałam życie a ono zdawilo się mnie. Dlatego cierpię najbliższym człowiekiem. Czemu los przynosił nam ciągle kłopoty. Moje nogi nie dotknęły ziemi od lat. Teraz już nie płaczę, nie szarpie się. Rzadko kto nas odwiedza. Ludzie mają własne troski i sprawy. Najczęściej przyjdą, popatrzą, politują się — jaka biedna — i uciekają jak najszybciej. Choroba nie pociąga.

Daszka rozrabia wśród stosu papierów. Niefrasobliwie rozgarnia łapą brudnopisy prób poetyckich.

„Zostanie tylko kilka wierszy
szalejący nocą wiatr
Wśród ścieżek pustych najsmutniejszych
Na których chłód przymroczu spadł
Zostanie tylko kilka westchnień
Słowo niepotrzebnych zmłkły szep
Umierające z zimna szczęście
Drzew, w które zmierzach jesienny wszedł...”

Dzwonek. W mieszkaniu pojawia się mała dziewczynka. — To moja sąsiadeczka — przedstawia pani Charlewską. — A po mleko nie zabomni przyjsz Beato — woła za odchodzącą. Bo mlekiem dzieli się po sąsiedzku.

W słowach znow uśmiech. Przestaje wierzyć w to wcześniejsze zapewnienie: „Jestem spokojna drętym spokojem przemijania”. Czy ktoś, kto pisze książki i wiersze, uśmiecha się do dzieci, czyta z miłością Lechonia, Leśmiana, zachwyca się „Ogrodami” Iwaszkiewicza i piosenkami Leszka Długosza może być „drętą”? Pani Charlewską wyczuwają, o czym myśli. Mówi, odgadują:

— Dziwiał mi się, że jestem uśmiechnięta. Ja zaś uśmiechem pokrywam swoją wielką mekę. Nauczyłam się już nosić maseczkę. Nie znaczy to, że udaję, tylko ludzie mają dość swoich utrapię, po co dorzucać jeszcze...

Powiada, że chce dać ze siebie chociaż uśmiech, jeśli nie innego nie potrafi. To gorzko być skazanym wiecznie na cżyją pomoc. Ale każdego rana wymyśla sobie na pociechę małą radość.

Zaraz, chwilczkę ręka zdrtwiała, trzeba zmienić pozycję.

A więc można się cieszyć słońcem, śpiewem ptaków, nawet naddająca burza. O, teraz na przykład chmurzy się a ią to cieszy. Zaraz spadnie deszcz. I to też będzie barwa tej konkretnej godziny, która jeszcze została do przeżycia.

W pokoju raduje oczy duża paproć wyhodowana od maleńkiego. A poza pokój można przebieć wędrować wyobraźnią. Radio przynosi ze świata muzykę, wiersze. Są jeszcze oczy, które widzą. I wiara, że Bóg nie daje nie ponad siły ludzkie. Ale to trzeba było lata pracować na tę świadomość — dodaje chora wyjaśniająco.

Mówi jeszcze o ścieżce, którą każdy z nas musi przewodzić do końca, jedynie, tylko dla niego wytyczonej. Widocznie można wytrzymać cierpienie, widocznie jest ono na coś potrzebne.

Okna dużego bloku-lamańca w osiedlu Widok wychodzą na pawilon gospodarczy. Widok — nomen omen — ładny: dach SAM-u i drzewko.

— Mój świat się skaca, ale tak musi być.

Kobiety w Imperium Osmańskim tak jak i w Europie odgrywały znaczącą rolę na arenie politycznej. Może nam się to wydać dziwne, gdyż w myśl przepisów prawa muzułmańskiego miejsce i rola kobiety jest inna niż w systemie chrześcijańskim. Oczywiście ich wpływ na decyzje państwowe był różny. Za panowania pierwszych sultanów raczej mały — większy, a z czasem nawet decydujący, w interesującym nas okresie XVI i XVII wieku.

Chcąc temu zapobiec już ojciec Sulejmana Wspaniałego — Selim I wydał prawo zabraniające zawierania sultanom tureckim związków małżeńskich z kobietami zamożniejszych rodzin w państwie, a także z księżniczkami zagranicznymi. Pierwsi sultani (podobnie jak w Europie) zawierali małżeństwa polityczne, jak np. Orchana z Teodorą córką cesarza bizantyjskiego czy też sultana Mehmeda II z księżniczką turemską Sitt Hatun. Natomiast od XVI wieku wszyscy następni władcy osmańscy byli „synami niewolnic”. Selim II panujący w latach 1566–1574 to pol-Polak, Mehmed III (1595–1603) pół-Wenecjanin, Murad IV, Ibrahim I, Mustafa — to pół-Grecy a Mehmed IV (1648–1687) znowu był pół-Polakiem. Pomimo tych zakonów harem w sposób dość istotny wpływał na losy państwa, szczególnie zaś wtedy, gdy rozgrywała się walka o następstwo tronu. I jakby na ironię wpływ harem na decyzje państwowe za panowania 10 następujących po Selimie sultanów był tak wielki, jak nigdy przedtem ani potem — zresztą ze względu na interesów imperium.

Harem zawsze wzbudzał olbrzymie zainteresowanie podziwiał dreszczem emocji „niezdrów” sensacji. Samo słowo „harem” wywodzi się z języka arabskiego i pochodzi od wyrażenia „haram”, co oznacza część domu

HAREM I POLITYKA

przeznaczoną wyłącznie dla kobiet. Żeby było ciekawiej, to należy wyjaśnić, że zwyczaj izolowania kobiet przejął Arabowie w VII wieku z Bizancjum, a od nich dopiero Turcy. W haremach przebywały wszystkie kobiety, zarówno wolne jak i niewolnice. Harem mógł posiadać każdy wierzający muzułmanin. Natomiast liczba kobiet przebywających w nim była uzależniona od majątku właściciela i wahała się w przypadkach dostojników osmańskich od kilku do kilkuset. Największy harem liczący czasami ponad 600 kobiet posiadał sultan.

Sprostado takiemu zapotrzebowaniu na „żony” nie było łatwe (biorąc w dodatku pod uwagę wymogi jakim musiały odpowiadać kandydatki do sultankowskiego haremu), stąd podczas wojen prowadzonych przez ludy muzułmańskie, najcenniejszym łupem były młode kobiety. Kobiety starych nie



BARTŁOMIEJ JUSZCZYK

brano w jasyr — zabijano je na miejscu lub też puszczano wolno. Z tego też powodu często Turcy i Tatarzy (nawet w ucieczce), gdy trzeba było porzucić cały jasyr, chętniej wyzyli zabić zabranionego bogactwa ale prawie nigdy nie zapomnieli zabrać z sobą brankę. Po przywiezieniu do krajów muzułmańskich były sprzedawane na specjalnych bazarach. Ładnie ubrane, zadbane kuszy potencjalnych nabywców, a właścicielom przynosiły odpowiednio większy zysk. Najładniejsze kobiety i dziewczynki zasilały harem sultana lub najwyższych dostojników. Losy kobiet, które dostały się w ręce ludzi mniej zamożnych, były trudniejsze, czekała je prawie zawsze w przyszłości ciężka praca. Przeznaczone dla sultana wybierane były dokładnie przez celników stambulskich. Wybrane oglądała następnie przełożona z Seraju zw. cehaja tak „aby żadnej wady na ciele ani ułomności nie miały” i dopiero po przeprowa-

dzeniu tak drobiazgowej selekcji trafiały do haremu pa-

dyszacha. Po przyjęciu do haremu wychowywane były w wierze muzułmańskiej. Zajmowały się szyciem, haftowaniem, tkaniem i innymi potrzebnymi pracami. Ogromną rolę odgrywała nauka śpiewu i tańca, jako że był to jedyny sposób przypodobania się sultanowi. Szczególnie dbano o to, aby nie dochodziło do dewiacji seksualnych. Dlatego też na co piątym łóżku spały ochmistrzyni (cehaje), które podlegały głównej cehaj — przełożonej haremu.

Kobiet w haremie pilnowali i usługiwali im eunuhowie. W przeciwieństwie do serajów, gdzie do posług zatrudniano białych eunuhow, w haremach dużą rolę odgrywali tylko czarni. Szczególnymi względami cieszyli się ludzie fizycznie upośledzeni tj. głusi, karli itp., przy czym wybierano najbrzydszych z całej Afryki. „Tedy jeszcze na większe umiartwienie przyrodzonej skłonności, którą biologicznie do mężczyzn mają obojętne tak czarnych i tak szpetnych, żeby się ich niekładać musieli” — tak o czarnych eunuach haremowych pisał Ricout w 1678 r. Na czele eunuów stał ich przełożony czarny kizlar agasi (czyt. aczasi), zarządzający haremem i mający przywilej wstępu do pokojów haremu nawet w obecności sultana, stał się z czasem trzecią osobistością państwa po wielkim wizerze i przełożonym ulemów a wpływ jego na politykę państwa niepomniernie wzrósł.

Kobiety przebywające w haremie dzieliły się na pięć grup: obubienice cesarskie, przeznaczone do usług pa-

dyszacha, posługujące obubienicom i damom dworu, księżniczkami i sultankami oraz młode dzieci jeszcze uczące się. Padyśzachs miał cztery obubienice urzędowe tzw. Kadyny oznaczone cyframi od 1 do 4. Gdy je wybierał ochmistrzyni ustawiała wszystkie panny rzędem, a sultan

(CIĄG DALSZY NA STR. 4 i 5)

(CIĄG DAŁSZY ZE STR. 3)

Ja i w Siedmiogrodzie do walki z Polakami. Nie było jednak ani jednego, ani też pierwsze uposażenie rycerzy Zakonu NMP w Europie, gdyż nadania ziem nie miały miejsca w Grecji, Italii, Niemczech i Czechach; w 1222 r. darował im wien Lasocice k. Namysłowa Henryk Brodaty, zaś Władysław Odonic — 500 wlok gruntu nad Jeziorem Bytyńskim. Do Krzyżaków siedmiogrodzkie zwrócił się właśnie Konrad Mazowiecki i przywołał ich do swojego księstwa, nadając im na uposażenie ziemie chełmińskie, w zamian za zobowiązanie do obrony pogranicza mazowiecko-kujawskiego i prowadzenia wojen z Prusami w interesie terytorialnym księcia. Oferta Konrada była bardzo na czasie, gdyż rycerze Zakonu NMP popadli w konflikt z królem Andrzejem II i za sprzeniewierzenie się warunkom umowy zostali w 1224 r. wypędzeni z królestwa węgierskiego. Zanim osiedli jednak w ziemi chełmińskiej postarali się w marcu 1226 r. o zatwierdzenie nadania Konradowego u cesarza Fryderyka II, który zapatrzył ich nadto w tzw. złotą bullę, nadającą im uroczyscie wszystkie te ziemie, które zdobył w Prusach oraz prawa książąt Rzeszy. W 1234 r. sfalszowali przywilej księcia Konrada przekazujący im rzekomo na własność nie tylko ziemie chełmińskie, lecz także całe Prusy i wyjednali w kurli rzymskiej akt nadania ziemi chełmińskiej i Prus Zakonowi Krzyżackiemu jako „własności św. Piotra”.

Już u progu współpracy z Krzyżakami został książę mazowiecki wyprowadzony w pole, gdyż zarówno wspomniane przywileje cesarskie, jak też papieskie, uzyskali oni poza jego plecami. Nie zdając sobie sprawy z jak przebiegłym i przewrotnym partnerem wszedł w układ, przekazał Krzyżakom w 1228 r. ziemie chełmińskie w użytkowanie, nieco później dodał jeszcze Nieszawę. Do walki z Jąćwierzą sprowadził do Dobrynia w 1227—28 nadto Zakon Rycerzy Chrystusowych (Bracia Dobrzyńscy), których również hojnie uposażył. Planował osadzić na pograniczu pruskim jeszcze templariuszy, wierząc początkowo święcie, że osiedlając obcych rycerzy zakonnych zabezpieczą sobie skutecznie spokój od najazdów plemion pruskich i jąćwiesko-litewskich, zapew-

nia sobie również pierwszeństwo do ich ziem oraz uzyskuje możliwość odegrania czołowej roli w walce książąt dzielnicowych o stołeczny Kraków.

Wspominaliśmy już, że Konrad Mazowiecki pozostał pod wpływem Leszka Białego i stanowił oparcie dla jego polityki ruskiej oraz międzydzielnicowej. Można powiedzieć nawet, że był słabostką do starszego brata, którego nie opuszczał w biedzie. Tylko w Gasawie, gdzie był obecny na zjeździe książąt i możnych, nie obronił go od napadów siepaczy nasłanych przez Odonicę i Świętopełka gdańskiego i od zadanej mu przez nich śmierci. A może nie miał zamiaru go bronić?

Przecież przysły jak bańka mydlana realne dotąd rachuby Konrada i jego dorosłych synów na odziedziczenie dzielnicy po księciu krakowsko-sandomierskim, gdyż urodził mu się niedawno (1226) syn Bolesław; przecież zmontowane głównie przez Leszka Białego porozumienie z Władysławem Laskonogim i Henrykiem Brodatym w sprawie współpracy politycznej i przechodzenia głównych dzielnic kraju na tego z trzech kontrahentów, który żyć będzie najdłużej, uderzało szczególnie silnie w ambicje księcia na Kujawach i Mazowszu. Zastanawiające jest dalej, że po wydarzeniach gasawskich znalazł się on rychło w obozie bratobójczy, księcia Władysława Odonicę, i udzielił mu pomocy zbrojnej przeciwko Laskonogiemu. Co więcej, sojusz z podstępem i odradającym malkontentem wielkopolskim utrzymywał również w okresie późniejszym o czym świadczy najlepiej spotkanie z nim

23 marca 1231 r. w Zgierzach i kolejna smaczna pomoc wojskowa dla Odonicę w ostatniej fazie jego wojny z Władysławem Laskonogim. Fakty te dają wiele do myślenia.

Po 1227 r. Konrad Mazowiecki ścigał maskę z twarzy i pokazał inne, bardziej prawdziwe oblicze. Zmienił gwałtownie kierunek swojej polityki. Przeszedł go interesowany problem prusko-jacki, które przekazał w ręce zakonników rycerskich, i oddał się wyłącznie sprawie przejęcia ojcowizny po zamordowanym bracie. Idea opanowania Krakowa stała się odąd jego obsesją. Dążył do jej urzeczywistnienia bez jakichkolwiek skrupułów moralnych, powodowany

syłką kniaziów ruskich, nie dając wyników pozytywnych, uderzył na ziemię krakowską i sandomierską oraz wkroczył do Wielkopolski i na Śląsk, gdzie rządził Henryk Brodaty, stronnik Laskonogiego. W Krakowie nakłonił się na zdecydowany opór możnych, którym przewodził Gryfici, palający szczególną nienawiścią do księcia mazowieckiego za represje w 1224 r. po nieudanej wyprawie Małopolan do Prus. Nie cierpiał Konrada również Iwo Odrowąż biskup krakowski i jego wpływowi współpracownicy, niechętni była mu również księżna Grzymisława. Mimo pomocy ruskiej nie zdobył w lecie 1228 r. także Kalisz, jednakże zachwiał rządzą Laskonogiego, który nie mógł opuścić Wielkopolski z powodu wojny z Odonicem, zwrócił się o pomoc do Henryka Brodatego i oddał mu wskutek tego Kraków i dzielnicę krakowską w rządy zastępcze. Na drodze Konrada do opanowania stolicy kraju stanęła teraz potęga księcia śląskiego. Nie był w stanie się jej przeciwstawić skutecznie i ponosił późnym latem oraz jesienią 1228 r. dwie dotkliwe klęski pod Skawą koło Ojcowa oraz pod Międzybórzem w pobliżu Opoczna. Nie dał jednak za wygraną, chwytając się z kolei środków podstępnych i moralnie nagannyh. Na początku 1229 r. dokonał na Henryka Brodatego napadu, podczas jego pobytu w Spytkowicach na wiecu i słuchania mszy porannej. Po krótkiej utarczce (podczas której Brodaty został znowu porażony) porwał go i uwięził do Plocka, licząc, że otworzy mu to bramy Krakowa. Ale znowu się pomylił. Stolica kraju rozbitego na dzielnicę uważała za swojego księcia nadal Władysława Laskonogiego, a Marek i Klemens Gryfici obsadzili mocno Wawel, zamek w Skale i zabezpieczyli dostęp do miasta. Mimo wielu usiłowań nie zdobył znowu stolicy i nie wystawił w latach 1227—31 żadnego dokumentu z tytułem księcia krakowskiego. Nie utrzymał też dłużej w niewoli Henryka Brodatego, po którego uciece się do Plocka, oburzona ucieczką podstępem i gwałtem przez księcia mazowieckiego, żona porwanej, Jadwiga śląska. Konrad skaptulował przed rąkami tej niezwyklej kobiety i uwolnił jej męża. (d.c.m.)

„Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice, Tyle w pieśniach litewskich stawione lisice... Panienki za wysmukłym gonią borowikiem. Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem Wszyscy dybą na rydza...”

(A. Mickiewicz, Pan Tadeusz, ks. III)

Zwycząj grzybobrania sięga dalekiej przeszłości. Podobno od czasów starożytnego Rzymu potrawę z grzybów zdobyli najlepsze stoly. Do dziś zbieranie grzybów pozostało przyjemną rozrywką. I pożyteczną, wszak grzyby nadal uchodzą za przysmak. W tym roku jest ich wyjątkowo dużo, zwłaszcza w południowej Polsce. A więc? Na grzyby!

Wcześniej wstępny jednak do Kliniki Toksykologii AM w Krakowie, gdzie tegoroczny urodzaj grzybów zapisał się w smutniejszych barwach. Już w tym roku, — choć zwykle największy, jesienny wysyp grzybów jest jeszcze przed nami — w Klinice tej leczono 26 osób zatrutych grzybami —

Różne domowe metody rozpoznawania grzybów trujących nie wytrzymały próby czasu. Srebrna łyżka, zanurzona w grzybowym sosie nie zdemaskuje trucizny. Nie zwalczy jej parzenie grzybów, obgotowywanie, czy inne zabiegi kulinarne. Nieprawda jest, że ślimaki nie obgryzają grzybów trujących — nie wskazać nam więc, który jest jadalny. Ludzie błędnie twierdzą, że grzyby trujące są gorzkie i mają brzydki zapach — niektóre bowiem, choć zagrażają życiu, pachną zwyciężają, jak grzyby i nie zdradzają swych trujących właściwości gorzkim smakiem. Nie zastąpi więc faktycznej wiedzy o grzybach i umiejętności ich rozróżniania, a błąd można przepłacić życiem.

GDYBYM WIEDZIAŁ, ŻE TO TRUCIZNA...

Najgroźniejsze zatrucia grzybami objawiają się dość późno, po 8—12 godzinach od czasu ich zjedzenia, a niekiedy nawet po 24 godzinach, kiedy trucizna poczyni już spustoszenia w organizmie, zaatakując wątrobę, nerki, mózg, naczynia włosowate. Wtedy dopiero ofiarę tragicznej pomyłki zaczynają męczyć bóle brzucha, głowy, nudności, wymioty, biegunka, oblewają zimne poty. Wreszcie przychodzą kłopoty



z oddychaniem, krwawienia, apatia, zaburzenia świadomości. Czasem przez kilka dni stan chorego się nieco poprawia, niektórzy wiedzą właśnie z tego, mimo protestów lekarza, wypisania ze szpitala. Zle samopoczucie wraca jednak, a gdy zatrucie jest ciężkie, pojawia się żółtaczka, chory popada w śpiączkę i następuje zgon.

Gdy objawy następują zaraz po spożyciu grzybów rokowania są zwykle lepsze. Choć niekiedy bywają to gwałtowne wymioty, silne bóle brzucha, głowy, poty, zaburzenia w oddychaniu. Wreszcie także grzyby jadalne przechowywane zbyt długo, odgrzewane, mogą spowodować ostry nieżyt, lecz to nie są toksyczne grzybowe, więc niebezpieczeństwo bywa znacznie mniejsze.

Grzyby o działaniu muskarynowym (muskaryna — trujący związek organiczny) dają zatrucia objawiające się poceniem, łzawieniem, ślinieniem, nudnościami, zaburzeniami wzroku, oddychania. W Meksyku, a także na Syberii i Kamczatce rosną grzyby halucynogenne, stosowane przez miejscową ludność jako środki odurzające.

Jedno jest pewne — niezależnie od czasu wystąpienia objawów i ich nasilenia trzeba szybko zwrócić się do lekarza. Szybko, bo nawet minuty się liczą. Nie wolno tracić czasu na samoleczenie ziołami, mlekiem, alkoholem, co tak często pogarsza stan. Reakcja organizmu na truciznę zawartą w grzybach bywa bardzo indywidualna. Zdarza się, że po zjedzeniu tej samej potrawy z grzybów ktoś umrze, a ktoś inny ledwie zauważy u siebie objawy zatrucia. A co dziwne, te same gatunki grzybów, w zależności od podłoża, bywają bardziej, lub mniej trujące. Toteż nawet starzy grzybiarze niekiedy się mylą. Bywa, że leżąc w szpitalu z zagrożeniem życia próbują jeszcze dowodzić, że nie był to przecież trujący grzyb, że to niemożliwe...

ILE KOSZTUJE LEKKOMYŚLNOŚĆ?

— Nim zaczniemy mówić o leczeniu musi pani zobaczyć chorą — zdecydował dr JANUSZ PACH z-ca kierownika Kliniki Toksykologii AM w Krakowie, gdy tylko zaszłam do tej placówki. Wchodzimy do sali, gdzie leży 25-letni mężczyzna. Jest nieprzytomny. Wspomniane oddychanie, kłopotliwa. Ten człowiek walczy ze śmiercią, a szanse przeżycia ma ponoć niewielkie. Odkryty tors podnosi się jakby z trudem w rytm wspomnianych oddechów, skóra jest lekko zażółcona, regularne rysy twarzy jakby zastępy. Oczy przymknięte. Ostrzegano go ponoć, że nieświe trujący grzyb. Nie wierzył. W sąsiedniej sali dwóch nastolatków. Ci uszli śmierci, lecz jakie zmiany spowodowała trucizna w ich narządach, pokazać przysze lata.

Już w tym roku, choć jesienne grzybobranie dopiero się rozpocznie, grzyby przyniosły wiele tragedii, niepotrzebnych cierpień, nieoczekiwanych śmierci. Z dreszczem czytaliśmy niedawno o śmierci czterolatniego chłopca, którego babcia nakarmiła grzybami. Inne dziecko samo znalazło i upiekło grzyby trujące na rozgrzanej blasce. Ono też już nie żyje. — Patrzącym ciągle na podobne tragedie — mówi dr PACH z rozdzieleniem — Chciałoby się krzyczeć, prosić o rozważę.

Do krakowskiej Kliniki Toksykologii trafiają chorzy z najcięższymi zatruciami, z obszaru całej południowej Polski. Tu dyżur trwa przez okrągłą dobę i okagdy roku. Klinika kierowana przez prof. LEONĄ CHOLEWĄ, wiceprzewodniczącą Europejskiego Stowarzyszenia Ośrodków Toksykologicznych udziela telefonicznych informacji dotyczących zatruc. Korzystają z tych informacji lekarze z innych ośrodków.

Leczenie zatruc zaczyna się od płukania żołądka. Sam chory, nim zdąży przyjechać karetka, winien prowokować wymioty, w czym pomaga roztwór soli w ciepłej wodzie. Resztki jedzenia, które spowodowało zatrucie, próbki wymiocin i kału, przesyła się jak najszybciej do pracowni Saneptid przy ul. Prądnickiej w Krakowie, utworzonej przed osmiu laty w Dziale Higieny i Żywności, gdzie materiał ten poddawany jest znużnemu badaniu. Chodzi o to, by znaleźć w nim zarodniki grzyba — a ich wielkość nie przekracza

LEKTURY OBOWIĄZKOWE

Melchior Wańkowicz w I tomie „Karafki La Fontaine’a” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, w „Dzieliach wybranych”, wydanie III, stron 640, cena zł 250) napisał w odpowiedzi na pytanie „Jak ta książka rosła?”, „rosła — organicznie — z drobniejszych prac. Stał nawroty, narosło, wykrzywił się — jak w drzewie, które rosło i w deszczu, i w su-

szu, i w grad, i w pioruny, i z którego darto łyko, i z którego cięgnięty soki pasowały, i które opaskowały gawrony, i o którego pień czochoły się dzikie świstaki”.

Nazwałem w tytule niniejszego sprawozdania „Karafkę” wielką — księgą dziennikarstwa polskiego. Uważam, że jest to najpiękniejsza książka Wańkowicza z dziedziny rozważań trochę teoretycznych, w gruncie rzeczy praktycznych. Naturalnie sławę i chwałę pozostanie w dorobku tego pisarza i reportera na pierwszemu miejscu książka o Monte Cassino, rekonstrukcja-reportaż o antyniemieckiej walce Polaków w minionej wojnie światowej. II tom „Karafki La Fontaine’a”, który na razie jeszcze w dziełach wybranych się nie ukazał, jest przegadany, informacja goni tam informacje.

Pierwszy tom — to zupełnie coś innego! To dowód na bogactwo języka Melchiora Wańkowicza, które rodzi się w liniowej, reporterskiej robocie, kiedy prawdziwe zarozumiałstwo autora tak cudownie — prawdziwie pozwala mu powiedzieć, że „powieść paskuje reportażem”.

W gruncie rzeczy cały ten pierwszy tom jest poświęcony polszczyźnie, językowi reportażu, powieści, mowie potocznej, bez której usycha i literatura i dziennikarstwo.

Jaki jest Wańkowicz w tej książce? Zdyszany, zagoniony, ale jeszcze silny, jeszcze szczepiony, jeszcze pełen pomysłów. W tym miejscu naturalnie każdy z dziennikarzy-praktyków powie, że te koncepcje zaczerpnięte zostały z opowieści kresowej szlachty, bo przecież Miściszczyzna, wojska naturalne Wańkowicza, jego krewnych i kolegów ko Rosji — rozpamiętywanie nalewek

Wielka księga dziennikarstwa polskiego

...i w dziełach wybranych... Ale bodaj tam! Wańkowicz w „Karafce La Fontaine’a” w tomie pierwszym to reporter i pisarz w jednej osobie, który już dawno urodził się w emigracji, który wpił się w życie polskie to powojenne, rozbuhanie radością ocenia. Pamiętam, że kilka wieczorów autorskich i spotkań Wańkowicza w Krakowie, w Zielonej Górze. Ludzie słuchali z zapa-

tem, tehem tego świetnego gawędziarza, który w polszczyźnie mówionej obracał się jednak mniej swobodnie, niż w tekstach napisanych, wydrukowanych. Opętanie reportażem, budowanie z mądrych obrządków, faktów, z dużych, panoramicznych ujęć „świata przedstawionego” pod teoretyczno-gawędziarskim piórem Wańkowicza to dopiero majstersztyki!

Jako lektura zwyciężająca, taka bez obławy na rękę, nasza część „Karafki La Fontaine’a” jest spisem przegad człowieka bywałego, światowca, frontowca, emigranta, uciekiniera, nieodrodzonego syna szlacheckiego, który tak idealnie umie podłuszczać ludzi prostych i uczonych, że potem mówi bez obawy o „słowach — wytrychach” i o „języku-miślanu”. Człowiekowi trochę skóra cierpieć, jak bestia Wańkowicza purystów językowych, którzy dla czystości — wykoncypowane! — mówią naszej chęć, aby oczyścić z wszelkich brudów. Wańkowicz brudów się nie boi i wie jaka jest funkcja słowa mowniejszego, którego zresztą nigdy nie nadużywa.

Ważne są bardzo konsekwencje wynikające z takiej postawy Melchiora Wańkowicza. Otóż traktuje on produkcję literacką polskich pisarzy lat pięćdziesiątych i częściowo sześćdziesiątych z życiową manierą obserwatora. Nikogo nie wywija od zaangażowania, socrealizmu. Dowcipnie analizuje wiele książek, felietonów, wyraża, nawołuje do humoru i w gruncie rzeczy zgad od dziennikarza — nieprawdopodobniej wręcz erudyty. Według przepisu Wańkowicza pisać reportaż powinien być dowcipny jak Rej, kiedy trzeba — ordynarny, kiedy trzeba — subtelny.

Obuda Wańkowicza polega na tym, że autor doskonale zdaje sobie sprawę z nieosiągalności erudytyjnego wymykania się tematów. Istnieje ciekawe zjawisko: wielu publicystów podczas przygotowywania się do realizacji np. reportażu, tak wiele czyta, że potem sam temat rozważa tonie w przyczynkach. Treba talentu, wielkiego talentu Wańkowicza, aby z morza drobnych uwag wydobyc to, co jest najważniejsze. Bogactwo prozy Wańkowicza polega również na wyborze słów. O czym muszą pamiętać zarówno Czytelnicy, jak i dziennikarze.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

KRYSTYNA ROŻNOWSKA

Nie jedzcie tych grzybów!

więcej, niż w całym roku ubiegłym — a trzy z nich zmarły. W krakowskich szpitalach zmarło z powodu zatrucia grzybami kilkoro dzieci przywiezionych tu w ciężkim stanie z południowych województw kraju.

BOGATY, NIEZNANY ŚWIAT

Grzyby stanowią odrębną część roślinnego świata. Nie mają chlorofilu, żyją kosztem innych organizmów. Niektórzy naukowcy uznają je nawet za trzeci — obok roślin i zwierząt — oddzielny świat organiczny. Liczba gatunków grzybów występujących w całym świecie nie jest dokładnie znana, jedni szacują ją na ok. 100 tys., inni twierdzą, że sięga ok. 300 tys. W Polsce występuje ok. 10 tys. gatunków grzybów, choć niektóre wymagają jeszcze naukowego potwierdzenia. Grzyby rosną właściwie wszędzie, są bardzo różnorodne. Wśród nich jednak do tych, co kuszą pod krzaczka w czasie grzybobrania — do tzw. grzybów kapeluszowych, w które obfitują ponoć lasy półkuli północnej, a więc i nasze lasy.

Nie tylko znawcy grzybów wypada wiedzieć, że grzybnia jest ukryta w ściółce, czy pod ściółką lasu, a wyrastający z niej trzon i kapelusz, który bywa obiektem naszych poszukiwań, zwą się owocnikami. Pod kapeluszem kryją się małe, delikatne zarodniki.

Od dawna pożywiano się co do tego, czy grzyby są wartościowym pożywieniem. Okazuje się, że ich wartość kaloryczna jest niska, zatem nie tuż. Wartość strawnego białka nie jest zbyt duża, lecz już nie ulega wątpliwości, że zawierają witaminy: B₁, B₂, D, niewielką ilość witaminy C oraz substancje mineralne: fosfor i potas. Są jednak ciężko strawne, nie należy ich podawać małym dzieciom, ludziom chorym na żołądek, jelita, nerki. W dodatku mogą powodować uczulenia. O tym, że są smaczne i mają przyjemny zapach nie trzeba chyba przekonywać.

Od dawna ludzie próbują uprawiać grzyby, lecz tylko 30 gatunków na świecie poddało się hodowlanym zabiegom, a wśród nich popularna u nas pieczarka. Inne same wybierają podłoże, nie licząc się z zamysłami człowieka.

GRZYB JEST PODSTĘPNY

Wszystkie grzyby swym urokiem przyciągają wzrok, te rosnące na pustyńskich polach, widoczne z daleka i te pod drzewami, ukryte w liściach, lub trawach. Tylko sięgnąć ręką i zerwać. Nawet trudno w takiej chwili wyrzec się grzyba dlatego, że nie jesteśmy do końca przekonani, czy to właśnie ten jadalny.

W Polsce w 1959 r. rozporządzeniem ministra zdrowia dopuszczono do obrotu 32 gatunki grzybów, zaś nie dopuszczono z różnych względów 20 gatunków, a 25 uznano za trujące. Przynajmniej te 25 gatunków grzybów trujących powinien znać każdy, kto wybiera się na grzyby. W tym roku jest podobno wyjątkowo dużo grzybów trujących, przyczyn tego faktu upatrjuje się w chemizacji lasów.

Jakie pomyłki czynią najczęściej amatorzy grzybów, narażając zdrowie i życie swoje oraz najbliższych? Na wiosnę liczne zatrucia powodują piestrzenie kasztanowate podobne do smardzy. W błąd wprowadzają już niedojdzone fałszywe rydze, czyli wielniaki, które wydzielają białe, piekące mleczko. Jeśli grzyb typu borowika ma trzon i spód kapelusza krwistej, czerwonej barwy — uważaj, bo tak wyglądał gatunki silnie trujące. Muchomor smrotnikowy, grzyb najbardziej groźny dla zdrowia, który już w ilości 50 g stanowi niebezpieczną dawkę dla człowieka, bywa często mylony z gołąbkami zielonymi, czy kania. W tym roku na Klinice Toksykologii było już 19 osób zatrutych tym grzybem. Coż, nie jest on czerwony i nie ma białych kropek, a jeszcze wiele ludzi pod nazwą „muchomor” widzi tylko tego jednego, najbardziej malowniczego, który nawiasem mówiąc, jest nieporównywalnie mniej trujący niż muchomor smrotnikowy, wiosenny, czy jadowity. Krowiak podwinęty, uważany kiedyś za jadalny, zaliczony został do trujących, zaś czerniak pospolity jest trujący tylko wówczas, gdy w czasie jego zjedzenia, czy nawet w kilka dni później, wypije się choć niewielką ilość alkoholu. Ten grzyb działa podobnie jak antabus.

Trudno rozróżnić grzyby, gdy są jeszcze bardzo małe — stąd propozycja, by nie zbierać małych owocników. Nie należy też wysyłać na grzybobranie dzieci. W tym roku jest wyjątkowo dużo zatruc wódró nieletnich, a organizm dziecka jest bardzo wrażliwy na trucizny zawarte w grzybach.

HAREM I POLITYKA

(CIĄG DAŁSZY ZE STR. 3)

przechodząc między nimi dokonywał wyboru. Wybranka otrzymywała osobne mieszkanie, a także własny dwór i uzależnionych, których praktycznie nigdy nie widział, a zadaniem ich było odczuć o jej interesy. Owa dama otrzymywała urzędowe pensje, podarki oraz inne beneficje. Gdy sultan przebywał w haremie każda z nich miała wyznaczony dzień dla siebie. Największym szczęściem dla obłubienicy było urodzenie syna. Wzrastał jej autorytet, gdy był to w dodatku pierwotny syn sultana.

Życie kobiet przebywających w haremie było wesołe. Uprawiały one różne gry i zabawy. Odgrywały najroźniejsze przedstawienia, słuchały muzyki, haftowały, szydełkowały, czy też w improwizowanych występach wyśmiewały wiarę chrześcijańską i obyczaje ludzi, z którymi żyli w Turcy. Ale nie tylko zabawa i przyjemnościami żył harem. Tu wylegały się intrygi i plotki z czasem coraz bardziej się nasilały. Harem to także czynnik twórczy w życiu publicznym.

...

Aż do początków XVI wieku sultani przeważnie prowadzili wojny, wiedli swoje wojska z jednego krańca imperium na drugie, a kiedy powracali do Stambułu ich obecność w sprawach państwowych łatwo się dawała odczuć i zauważać. Ograniczona ilość żon pałacowych i ubliwienie z kręgu niewolnic w haremie świadczyła o umiarkowaniu popędu piciowego władcy. Niektórzy byli wierni tylko jednej żonie i jej — jak Sulejman Roksolanie — z dalekich pól bitewnych ślali listy albo wiersze przepojone tęsknotą i czułością. To umiarkowanie zostało zachwiane już za czasów syna Sulejmana, Selima II — który odstąpił sprawy związane z działalnością i funkcjonowaniem państwa swoim doradcom, a sam wolał pozostać w seraju szukając tam rozkoszy i rozrywek. Syn Selima II Murad III jeszcze bardziej zaniedbał sprawy państwowe, oddał je w ręce wezryów. W przeciwnieństwie do swego dziadka Sulejmana Wapianalego, Murad III (na początku zdolny zaspokoić tylko jedną kobietę), zasmakowawszy w tej przyjemności, w krótkim okresie czasu prześluszczył się w fenomen nienasyconości seksualnej. Liczba kobiet w haremie zwiększyła się kilkakrotnie, a w sultanskich sypialniach knuto intrygi i decydowano o głowach ministrów jak również o sposobie rządzenia imperium.

Kronikarz turecki Paczewi twierdził, że na istambulekim rynku wkrótce wzrosły ceny na niewolnicę z dwustu na trzy a nawet cztery tysiące dukatów. A kiedy zabrakło niewolnic sultan zaczął zwracać uwagę na wdowy a także znane damy, żony wysokich funkcjonariuszy. Szybko otoczył się ponad czterdziestoma przyposebionymi żonami i ponad pięciuset niewolnicami, a każdej nocy w sultanskim seraju „korysano po pięćdziesiąt kobiet”.

Roksolana, żona sultana Sulejmana I

Modigliani pomógł Chaimowi Soutine'owi. Najpierw przysłał mu trzy (dla siebie, dla żony i dla Chaima). Jakże straszna musiała być nędza Soutine'a, jeśli do egzystencji wystarczały mu okrucy nędzy Modiglianego? Potem Modi poznał go z marszandem polskiego pochodzenia, Leopoldem Zborowskim, który zaopiekował się Soutinem i jego twórczością. Soutine bardzo dużo zawdzięczał Modiglianemu.

Najślinniej połączył ich alkohol, bliźniak nędzy. Piszę się, że „Modigliani rozpił Soutine'a”. Bzdura. Soutine upił się od dawna swymi lekami i wódczanymi zbliżeniami do delirium tremens pomagały mu zapominać o nich. Malcolm Cowley zauważył, że pijaństwo artystów to „swego rodzaju most ku innym, a zarazem próba przebiecia się przez skorupę świadomości i dotarcia do samego siebie”. Skorupę świadomości Soutine'a tworzyły jego lęki i koszmary.

26 stycznia 1920 roku Amadeo skonał na gruźlicę i w dzień później popełnił samobójstwo jego cudowna żona, Jeanne Hébuterne, która pokochała Modiglianego, opiekowała się nim jak dzieckiem, wybaczała pijaństwo i „modelki”, nie chciała żyć bez niego — i która nie ma pomnika!

Umierając miał Modigliani powiedzieć do „Zbo” Zborowskiego: „Cokolwiek się zdarzy, ty możesz się nie martwić. W osobie Soutine'a zostawiam ci wielkiego malarza.”

Zostawił Modigliani w spadku Soutine'owi nawyk upijania się, który scharłatał żołądek Chaima i posłał go do grobu w 1943, pięćdziesiątym roku życia. Umarł tak samo jak żył, biednym, wygnanym dzieckiem, które nigdy nie dołądziło do rumieni i pokochało świat. Cytuje się ostatnie słowa wielkich koneserów. Jego mogiły brzmiały jak wyznania Erica Satie: „Kiedy byłem młody, mówiono mi: zobaczysz, jak będziesz miał pięćdziesiąt lat. Mam pięćdziesiąt lat i nie widziałem.”

Przedtem jednak zdążył Soutine namalować swój obraz dla mojej kolekcji. W roku 1938, po krótkim okresie spokoju, nastąpił początek ostatniego już rozkołysu dramatycznej ekspresji na jego płótnach (podobno poeci najlepsze swoje wiersze piszą w ostatnich latach przed śmiercią). Cykl posępnych, zielonych pejzaży z wysoką i niską roślinnością, którą wiatr smaga bezlitośnie, gnę do ziemi, chce rozstrzępić, wyrwać z korzeniami, rozpylić po świecie od nieba do nieba. Chłostanie natury, bez współczucia, do kości.

W trzech z tych obrazów, malowanych o różnych porach dnia i roku, pojawiają się na szczytach chłopc i dziewczynki. Raz blisko, raz daleko. Horyzont ukryty za parawanem drzew, ciemnobłękitne niebo i czerwienią łaka. Krajobraz po burzy, czuje się wilgot i świeżość powietrza. Chłopiec jest większy i trzyma dłoń dziewczynki w swojej dłoni. Samotni w obliczu przyrody rozłożonej tortury wiatru, maszerują samotnie przed siebie. Nie ma nic, tylko świat i oni.

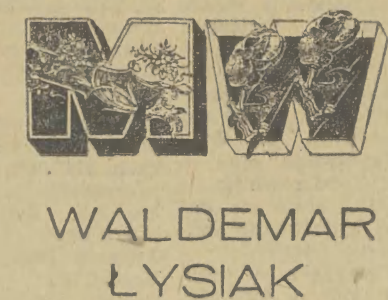
Te trzy obrazy pochodzą z lat 1938—39 i wiszą w Stanach Zjednoczonych (dwa w waszyngtońskiej Phillips Gallery, jeden w Perls Gallery w Nowym Jorku). Noszą różne tytuły. Dla mnie każdy z nich nosi tytuł: „Wygнанne dzieci”.

Z gliny jakiejś swej obsesji ulepił je Soutine? Ostatnie, to pewne, ale jakiej? Jeszcze nie wiem. Rozmyślałem jednak i z wolna zaczynam kojarzyć w mózgu kamyczki mojej mozaiki. Dwóm z tych płócien wygnany szczeniak, przez całe życie uciekający z białoruskiej wsi i goniany za czynem, co podobno można ująć dopiero w pięćdziesiątym roku życia, dewot w bibliotekach, czytający encyklopedie tak, jak czyta się romanse, ale nie dla zabicia czasu i przyjemności, lecz dla zdobycia

elementarnej wiedzy — dał tytuły: „Droga uczniów” i „Powrót ze szkoły po burzy”. Całe życie uczył się przez wycofywanie się i zostawiał na swej drodze wygnanego dziecka kamienie milowe znaczące szlak tej wędrówki — obsesję, które w szalonej mecie zmuszało do wypielania z wnętrza swego odwioła na płótno.

Rozmyślałem dalej. Byłoby rzeczą dziwną, gdyby pod koniec życia nie opadła go obsesja sportretowania tej drogi i nadania jej wymiaru uniwersalnego w mało odkrywczej, a przecież zawsze wstrząsającej prawdzie, że człowiek nigdy nie przestaje

Drukujemy fragmenty najnowszej książki Waldemara Łysiaka pt. „MW” złożonej w krakowskiej KAW. Autor oprowadza Czytelnika po własnym MUZEUM WYOBRAZNI — czyli galerii swych najbardziej ulubionych dzieł światowego malarstwa.



WALDEMAR
ŁYSIAK

WYGNANE DZIECI

prześlania nie mogło zabraknąć zgorzkniałej metafory ludzkiego losu. Tego zaś nie można przedstawić w lustrze bardziej złowrogim niż pielgrzymka samotnych, skrzywdzonych dzieci.

Dzieci krzywdzone od zarania. On był właśnie takim. Bilo go nieustannie. Mając siedem lat ukradł z kuchni noż, żeby go wymienić na kredki do rysowania. Ojciec zabił go za to i przez dwa dni trzymał o chleb i wódkę w ciemnej piwnicy zatłoczonej szczurami. Bilo go za gryzmolenie na murach kawałkiem węgla, za niechęć do pracy a miłość do malowania, za ucieczki z domu, za wszystko. Soutine uciekał kilkakrotnie, od bijącego ojca, ze szkoły, zawsze uciekał. Był wiecznym wygnanym. Złamał sobie rękę, rękę do katowania. Modiego pokochał między innymi za to, że — jak to genialnie zauważył Ilya Erenburg — u Modiglianego wszystkie postacie, nagie czy ubrane, kobiety czy mężczyźni, wyglądają jak skrzywdzone dzieci. Świat wydawał się im obu obryzany przedświatłem prowadzonym przez surowych dorosłych wychowawców. Kiedy już Soutine doszedł w Paryżu sławy i pieniędzy, przyjaciel Modiglianego, rzeźbiarz Lipchitz, wysłał przez wracającego na Litwę ziomka pieniądze dla swych głodujących rodziców i spytał Soutine'a, czy nie chciałby skorzystać z okazji i pomóc w ten sam sposób swojej rodzinie biedującej w Smółwiczach. W oczach Chaima błysnęła wściekłość.

— Qu'ils crèvent! (Niech zdychają!)

A widząc zdumioną twarz Lipchitza dodał: „Gdybyś ty wiedział, jak oni mnie traktowali!”

Nigdy nie zapomniał i nie darował tej piwnicy, w której tyle dni przemieszczał ze szczurami i tych okrutnych razów, które spadały bełkotnie na jego wątłe ciało. Uciekające dzieci nie zawsze zapominają. Coż my zresztą wiemy o kator-dzie dzieci?

Już w XIX wieku powstała w Nowym Jorku organizacja pod nazwą Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci (NSPCC). W niespełna sto lat później, w roku 1968, dwaj amerykańscy badacze, Hefner i Kempe, stwierdzili, że wśród dzieci poniżej pięcioletnich

wiecej umiera na skutek podległego traktowania przez rodziców, niż na skutek grypy, kokałsu, szkarlatyny, odrzy, reumatyzmu, zapalenia wyrostka robaczkowego i choroby Heinego-Medina razem wziętych. Właśnie w Stanach Zjednoczonych, w ojczyźnie doktora Spocka i mody na liberalne wychowanie, raporty specjalnych komisji senackich jarzą się od posępnych cyfr: przeciętnie milion przypadków znęcania się nad małymi dziećmi rocznie, w tym 60 tysięcy przypadków katowania, w tym dwa tysiące śmiertelnych, to znaczy cztery przypadki zabicia na tysiąc mieszkańców czyli 8 procent dzieci poniżej szóstego roku życia.

lub łoną. Na nim wyładowują się wszelkie napięcia i frustracje: dziecko pada ofiarą nieusatysfakcjonowanej seksualnie matki, żony upokorzonej swą rolą służącą, ojca zgnębionego nieludzkimi warunkami pracy lub przeszkodami stawianymi na drodze jego kariery zawodowej. Między sobą samymi a swymi egzystencjalnymi i społecznymi nerwami dorosły zawsze nakłnie się na własne dziecko, którym może się posłużyć na tysiąc sposobów. Znęcanie się nad nim jest właśnie ulubioną metodą wyładowywania nagromadzonej agresywności.

Ci nostalgicy przemocy, którzy z rozrzuconiem wspominają święte cięgi, jakie sami otrzymywali od swych rodziców i wyrażają się o doznanych w dzieciństwie krzywdach z aprobatą, twierdząc, że one właśnie pomogły im zmęczyć (czyli wyrosnąć na ludzi znerwicowanych i głupich), w rzeczy samej nie pozbawiają się ukrytej złości w stosunku do własnych rodziców, a nie mogą się zmięścić na nich, mszając się na swoich dzieciach. W imię prawa do miłości, oczywiście. Tak, prawa do miłości (...) Miłość zmieszana z nienawiścią to w naszej kulturze zjawisko jedynie w swoim rodzaju. Znęcają się nad sobą zakochani, narzeczeni i małżonkowie; wszelkie związki uczuciowe są zaprawione przemocą, bo kochać w naszej kulturze znaczy starać się sobie przywłaszczyć, wymagać, zdominować, czegoś oczekiwać (...) Wielu rodziców kocha z pianą na ustach. Stosunkom z dziećmi towarzyszą na co dzień wybuchy wrogości: matka besztuje dziecko, błąga na nie nienawistnie, by za chwilę je całować i ocierać mu łzy. Wiele razy na dzień celebrować się ten haniebny rytuał miłości-nienawiści-skruch, który skupia w sobie wszelkie odmiany zła tkwiące w naszym społeczeństwie...

Stąd bierze się chęć ucieczki. Z tego, co francuscy naukowcy określają jako „syndrome de l'enfant mal-aimé” — zespołem obawów dziecka odrzuconego. Odrzuconego przez społeczeństwo dorosłych okrutników, przez cały ich instytucjonalizowany, znerwicowany, okrutny i tchórzowski-złotyświat kosmos, dziecka wygnanego, marzącego o miłych ramionach matki, choćby była. Większość dzieci to mali wygnani we własnych domach, ale niektórzy do potępieńcy po stokroć bardziej przekleci, bo wygnani z domów, wygnani w sensie dosłownym, materialnym, bezdomne wóczy na bezkresnych szlakach Ziemi. Szpitala globu... Drogi globu są zatłoczone wygnanymi dziećmi.

Wciąż rozmyślam. Czy istniał taki alchemik, który zrozumiał, że poszukiwanie kamienia filozoficznego jest poszukiwaniem matki? W chederze, pierwszej szkole Soutine'a, Talmud był elementarnym, a w Talmudzie jest napisane, że „nie mogą być wszędzie — Bóg stworzył matkę”. Tak, ale ta matka... O której matkę tu chodzi? Czy jest nią ojczyzna, wolność, polityka, rodzina, tradycja... O Boże, kocha na wódkę robią się coraz to większe i metafizyczne, ucieka mi ich punkt frakcyjny, ta kobieta, matka nad matkami, jedna-jedyna, której szuka i do której dąży instynktownie każde wygnane dziecko... Myślę, placząc mi się coraz bardziej, myląc kamyczki, mozaiką fałszywych łajdaków dywan muezyna-czarnoskórych nad glicami minarełów noce. Kochanka-mara senna wabi mnie w swoje ramiona, wypija z mnych ust całą materię i pozostawia wyobraźnię wszelkich racjonalnych balastów, które przeszkadzałyby w majaczej. Muszę spróbować wrócić na Ziemię, muszę...

Kiedy to się zaczęło? Gdy wygnano pierwsze dzieci z Eden? Kiedy ludzie wzniesli pierwszą wojnę i zawierucha ognia po raz pierwszy rozpadła rodzinę? Gdy wybudowano pierwszy sierociniec? Gdy po raz pierwszy wypędzono dzieci do bydlego wagonu? Kiedy Wielki Policja postawił pierwszy krok na tropie wygnanych dzieci w nadziei, że te zaprowadzą go do matki? Bo ogniska buntu są w sercach matek, w łonach matek rodzą się spiskowcy. Należy znaleźć te serca i te matce, wydrzeć je i iad będzie zapewniony. Wystarczy podążyć za dziećmi.

(c. d. n.)

ALEKSANDER KRAWCZUK



CEMENTARZ RAKOWICKI — PROBA PRZEWODNIKA

Pięknie i wręcz monumentalne pamiątki działalności Hendla, można podziwiać w różnych punktach starego Krakowa, nie brak ich także w innych miejscowościach Polski. Jego grób, obecnie restaurowany, znajduje się w samym centrum cmentarza, tam gdzie z placem przed kaplicą łączy się główna aleja, po prawej jej stronie. Mimo to, nazwisko i zasługi Hendla są w naszym mieście stosunkowo mało znane, poza wąskim gronem historyków sztuki, konserwatorów, miłośników Krakowa. A przecież — by wymienić już na początku przynajmniej jeden przykład z listy jego prawdziwie imponujących osiągnięć — każdy kto wstępuje na dziedziniec wawelski i spojrzy na okalające go smukłe arkady, winien wiedzieć i pamiętać, że przywrócenie dawnego wyglądu temu świetnemu dziełu architektury, zawdzięczamy w ogromnej mierze właśnie Hendlowi.

ZYGMUNT HENDEL

Urodził się w roku 1862 w Krakowie. Studia wyższe, politechniczne i w Akademii Sztuk Pięknych, odbywał w Wiedniu. Powróciwszy do miasta rodzinnego pracował jako architekt pod kierunkiem J. Sarego i T. Stryjńskiego. Uzyskał następnie stypendium naukowe im. J. Lechońskiego i w latach 1889—92 podróżował dla zapoznania się z zabytkami i nowymi prądami w budownictwie po krajach Europy zachodniej; był we Francji, Belgii, Holandii, w Niemczech i Włoszech. Po powrocie prowadził jako dozent wykłady o stylach w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, potem zaś został konserwatorem okręgu tarnowskiego i rzeszowskiego oraz członkiem Grona Konserwatorów Galicji Zachodniej. W r. 1904 powierzono mu po S. Odrzywołskim kierownictwo odnowy katedry na Wawelu, a od sierpnia r. 1905 do czerwca r. 1914 był kierownikiem robót przy odnowie zamku na Wawelu; pierwszym kierownikiem w dziełach tego najwspanialszego i najcenniejszego pomnika naszej historii. Zmarł w r. 1929.

Te krótkie, suche dane biograficzne nie mówią jeszcze prawie niczego o ogromie prac Hendla. Żył lat 67, a więc dokładnie tyle, ile wynosi obecnie przeciętna długość życia, ale jego dziełami obdarte byłby może kilku przeciętnie aktywnych budowniczych i konserwatorów. Jacek Purchla w swej znakomitej książce „Jak powstał nowoczesny Kraków” wylicza następujące wielkie prace, wykonane pod jego kierunkiem w naszym mieście od r. 1894: restauracja zespołu klasztoru dominikańskiego; restauracja kościoła św. Krzyża (z T. Stryjńskim); budowa gmachu Powiatowej Kasy Oszczędności przy ul. Piłsudskiego (wspólnie z T. Stryjńskim); restauracja kościoła św. Piotra i Pawła i kościoła NMP; przebudowa Muzeum Czartoryskich przy ul. św. Jana; restauracja Starej Bożnicy na Kazimierzu; wspomniane już kierownictwo restauracji katedry wawelskiej i zamku; restauracja kościoła św. Józefa i św. Wojciecha; restauracja kamienicy w Ryńku Gł. 22.

Ale to nie wszystko, albowiem Hendel podejmował się też prac poza Krakowem. Wylicza je bardzo cenny zyciorys jego zamieszczony w „Polskim Słowniku Biograficznym”, pisał J. Lepiarczyka. Wymienimy z tego długiego rejestru restaurację kościoła bernardynów w Łezajsku, pałacu Raczyńskich w Rogalinie, rozbudowę pałacu w Młoszewie, kościoła w Porębie Żegoty, pałacu w Kościelcu, restaurację kościoła w Dębnie i w Wiśniczu Starym, a nawet kościoła św. Michała w Wilnie.

Były wreszcie liczne projekty i plany jego autorstwa, które z różnych względów, najczęściej po prostu z braku odpowiednich funduszy, nigdy nie zostały zrealizowane. Dla przykładu można tu podać projekt rekonstrukcji zamku w Tencynku.

Skąd Hendel brał czas, siły i energię, by sprostać tym wszechstronnym pracom, często nakładającym się na siebie? A wywiązywał się ze swych obowiązków, jak zobaczmy na przykładzie jego działalności na Wawelu, zawsze solidnie. Jest to tym bardziej zastanawiające, że w gruncie rzeczy okres pełnej aktywności zawodowej Hendla, trwał niewiele ponad lat 20, albowiem przerwał ją w początkach I wojny z powodów, jak się zdaje, zdrowotnych.

Najlepszy wówczas znawca dzieł Wawelu, przewodniczący komitetu czuwającego nad jego odnowieniem, Stanisław Tomkowicz, wystawił działalność wawelskiej Hendla świadectwo jak najchochliwiejsze:

„Doskonale przygotowany wieloletnim wykształceniem i doświadczeniem i całym kierunkiem prac i dzieł, objął w r. 1905 kierownictwo robót restauracyjnych około odnawiania z rąk wojskownic austriackich zamku wawelskiego i prowadząc je przez lat kilka nie zaniedbał położonych w jego o-

sobie nadziei. Pełne uznanie trzeba oddać zrobionemu przez programowi, głębokiemu znanstwu, dobremu smakowi i sumienności, o jakich do dziś dnia świadczy zapoczątkowane przez przedsięwzięcie”.

Sprawę zaś krążanków tenże Tomkowicz tak ujmując:

„Przepiękne krążanki uwołniono od ciężkich podmurań, które je przed stu bez mała laty ocalały razem i bardzo oszczędziły. Była to sprawa nad wyraz delikatna, niemal niemożliwa, co jak kwadratura koła. Najbardziej technicy doradzali rozebrać arkady i sklepienia i na nowo je odbudo-

wać. Dzięki pietyzmowi konserwatorskiemu, można powiedzieć uporowi ówczesnego kierownika, powiodło się zachować krążanki autentyczne, poprostu i umocować ich słupy i łuki, tu i ówdzie tylko kamieniem zbyt zużyte wymienić na nowe”.

Przy pracach tych co krok napotymano najprzeróżniejsze trudności, wynikłe z zaniedbań, błędów i szkód narastających przez wieki. Wszystko trzeba było zastąpić dosłownie od fundamentów. Oto wyjątek ze sprawozdania przedłożonego Sejmowi (galicyjskiemu):

„Dokończono przemurowania zgnitej warstwy fundamentu w drugiej części krążanków południowego skrzydła, jak również wymieniono zużyte ciosy w cokole. Przegrnieć i zwietrzałe spowodowane zostało złymp zaprowadzeniem cieków w os. XVI. To trzechwiekowe zawilgocenie fundamentów spowodowało obniżenie się, wychylenie i popękanie kolumn parteru i I piętra krążanków oraz spowodowało nachylenie się szkarpy środkowej tej części krążanków o 30 cm, co pociągnęło za sobą nadwężenie sklepień, które przez ciąg wieków latano i reperowano”.

Jak solidnie wykonano wówczas wszystkie prace, świadczy fakt, że dziś, po kilkudziesięciu latach, cały misterny system

kolumnad dziedzińca stoi piękny, nienaruszony i nie wymaga żadnych poważniejszych zabiegów konserwatorskich.

Osobny rozdział robót stanowiła kwestia wyboru kamienia dla uzupełnienia zniszczonych fragmentów — a tych było mnóstwo. Tu znowu oddajmy głos Franciszkowi Fuchsovi, autorowi cennej pracy „Z historii odnowienia wawelskiego zamku”:

„Hendel... zbierał wszelką informację, jeździł do kamieniołomów, posyłał próbki kamienia do stacji badawczych w kraju i zagranicą, podróżował nieraz, aby oglądnąć te budowle w kraju, w których użyto oferowanego mu na Wawel kamienia, sprawował i podawał próbne odbicie bardzo słone odmianny kamienia, i to ze wszystkich stron Polski. Wyeksperymentował tyle, że jego następcy mieli już ułożoną w tym kierunku drogę”.

Wśród zainteresowań i prac Hendla, wiele miejsca zajmowało gromadzenie dokumentacji fotograficznej i rysunkowej dokonywanych robót, jak też wszelkiego rodzaju drobnych fragmentów architektonicznych, rzeźbiarskich, ceramicznych, które wydobywano z ziemi podczas kopania rowów i dołów na terenie Wawelu. Niestety, ten piękny i bardzo cenny zbiór uległ zniszczeniu podczas okupacji.

Prócz rekonstrukcji arkad wykonano za czasów Hendla na Wawelu jeszcze następujące duże roboty (według zestawienia F. Fuchsa): wyprawiono mury I i II piętra w krążankach; odnowiono I i II piętra w dziedzińcu arkadowym; dano nowy dach w konstrukcji żelaznej nad całym zamkiem i nowy hełm na wieży Sobieskiego; odnowiono fasadę bramy wjazdowej do pałacu; wykonano nowe obramienia okien I i II piętra na fasadach zewnętrznych. To wszystko, podkreślmy raz jeszcze, w ciągu lat zaledwie dziewięciu!

Co prawda osiągnięcia te były możliwe — bo i o tym trzeba wspomnieć — również dzięki stałemu i regularnemu napływowi dotacji: 100 000 koron rocznie ze skarbu krajowego Galicji, tyleż z kasy cesarskiej, i sporo także z ofiarności społecznej. Te znaczne fundusze nie zostały zmarnowane i wylcono się z nich co do grosza.

Zasługi Hendla zostały później przydłone przez znacznie dłuższe i niezupełnie owocne kierownictwo robót na Wawelu, jakie sprawował ADOLF SZYSZKO-BOHUSZ. Nie wolno jednak zapominać, że to Hendel położył fundamenty prac renowacyjnych; zdrowe, silne fundamenty.

Stojąc więc przy skromnym grobowcu tego architekta, na cmentarzu Rakowickim, winniśmy mieć przed oczyma wawelskie krążanki oraz inne wyliczone powyżej budowle zabytkowe, które jemu zawdzięczają kształt obecny, a może nawet ocalenie. Ale przychodzi nam myśleć też inna refleksja. Hendel był przecież tylko jednym z grona wybitnych ówczesnych architektów i konserwatorów działających w naszym mieście. Wymienimy nazwiska mniej więcej jemu współczesnych, z których każdy wzbogacił Kraków o budowle mające pismo indywidualne i stanowiące w sumie ważny etap w dziejach rozwoju miasta. Byli to więc: Władysław Ekielski, Władysław Kaczmarek, Franciszek Maczyński, Maciej Moraczewski, Sławomir Okrutynski, Józef Pakies, Józef Podrzyński, Józef Sare, Tadeusz Stryjński, Teodor Talowski, Jan Zaremba, Jan Sas Zubrzycki. Iu spośród obecnie działających budowniczych i konserwatorów, zapisze się na kartach historii Krakowa równie chlubnie, wyraziście i trwale?

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

Przypisujemy sobie różne cechy narodowe. Wielkie i małe, duchowe i cielesne, lecz zawsze dobre, a to bohaterstwo, bezinteresowność, romantyzm, spontaniczność, zaradność, a także inne, których z racji urodzonej wstydlivości wole nie wymieniam.

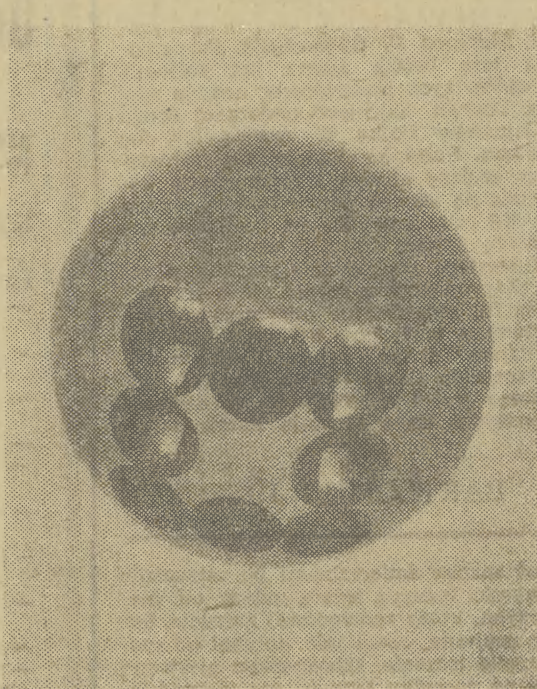
I słusznie. Bohaterami umiemy być, choć nie zawsze tam i wtedy, gdzie to jest właśnie potrzebne, potrafimy komuś całkiem bezinteresownie dołożyć, ot, tak, dla zasady, żeby mu się w głowie nie przewróciło. Uczucia romantyczne budzi w nas byle pół litra, z której to przyczyny za granicą, gdzie żal dewiz na alkohol, mamy raczej opinie trzeźwych handlarzy, niż filomackich potomków, i tak dalej, i tak dalej, aż do końca długiej listy narodowych przymiotów.

Może nawet słusznie, choć z pewnością niepełnie. Brak w niej bowiem jednej przynajmniej cechy, a mianowicie bohaterskiej, bezinteresownej i spontanicznej niekonsekwencji w myśleniu, w tym również o sztuce. Złotawsza abstrakcyjnej, z jej geometryczną odmianą na czele, tej zatem, której koła, trójkąty czy kwadraty trudno z czymkolwiek skojarzyć i w ten sposób oświecić.

Gdzie tu jednak niekonsekwencja? Ano choćby w tym, że wśród sztuki geometrycznej królami sobie zamykają — dla wyznaczenia swego stosunku do owych kwadratów, trójkątów i kółek — właśnie kółko na czoło, przynajmniej tym gestem okręgowi jakieś głębsze od formalnego, gdyż symboliczne znaczenie, czyli zawałka rzekomo bezznaczności geometrii przy pomocy znaczącego znaku geometrycznego.

Bo dwie mogą być, proszę Państwa, geometrie w sztuce: tylko dekoracyjna inżynieria płaszczyzny i przepojona mistycyzmem tudzież filozofią mowa znaków również starych, jak ludzkość. Albo i starsza, gdyż, być może, już jakieś nasze malpizy praktyczny cześć i zakładał wyłożony pazurami w jaskini ckrąg, jako najprostsze wyobrażenie życia i ciepłotańszo słońca. Pewnym natomiast jest, że we wszystkich niemal wielkich i pomniejszych kulturach własne

GEOMETRIE



w sztuce węgierskiej

w formach geometrycznych zamknięto treści uniwersalne i transcendentne.

Występują one w tajemnych, zrozumiałych tylko dla gawędy najwyższych kapłanów, wyobrażeniach egipskich i filozofii platońskiej, w

dzące w kuli symbol wszelkiej doskonałości a także w sztuce tantrycznej Wschodu, tworzącej cały system znaków geometrycznych dla pojęć tak szerokiech, jak światło, czas, przestrzeń nieskończona, tudzież wszystkiego, co zbliża się do zagadnień bytu i prawdy absolutnej. Dla zalecenia języka geometrii nie trzeba zresztą jeździć po zamorskich krajach, ani studiować jakiejś tam Jogi czy innego Zen. Zupełnie starczy spojrzeć na obwieszone trójkątami Oko Opatrzności, oraz kilka pomniejszych znaków geometrycznych naszej już, europejskiej, więc młodzieńczej i tym samym przynajmniej wobec Egiptu czy Dalekiego Wschodu kultury.

Piszę zaś o tym z okazji czynnej w pawilonie Biura Wystaw Artystycznych, zwanym potocznie Bankrem, ekspozycji współczesnej sztuki węgierskiej, w której geometria, zwana dziś, w zależności od potrzeb czy widzimisię krytyków nurtem postkonstruktivistycznym lub nawet postkubistycznym, gra pierwszą skrzypce.

I to od dawna, gdyż dość dźwięnie potoczyły się losy sztuki współczesnej trzech bliskich sobie narodów po jednoczesnym odyskaniu niepodległości. Dzieło się to zaś już dawno, bo w dwudziestolecie międzywojennym, więc wtedy, gdy z nagle, choć spodziewanie przysłały tradycje gwiazdy sztuki malarskiej rozbitych imperiów po postaci Wiednia, Monachium i Petersburga. Wtedy liczył się tylko Paryż, a w nim trzy wiojące ze sobą nurty: barwnego i świetlistego postimpresjonizmu, surowego kubizmu i drżącego podświadomości nadrealizmu.

No i jakoś tak, nie umiawiając się, Węgrzy wybrali sobie kubizm ze wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami, Cześć nadrealizm, a my postimpresjonizm, zwany swojsko, choć nieścisłe koloryzmem, bądź kapizmem, mimo że to określenie odnosi się wyłącznie do dwudziestu zaledwie członków „Komitetu Paryskiego”, w skrócie „K.P.”

Ot i cała tajemnica przewagi nartu geometrycznego w różnych jego wariantach na wspomnianie wystawie, przy oglądaniu której proszę pamiętać: to nie smaczna dekoracja. To język. To nowa wersja prastarego języka geometrii, to poszukiwanie sensu i porządku światu, w który to sens i porządek poniekąd przyczynają zresztą powstając.

JERZY MADEYSKI

Mieczysław F. Rakowski do stoczniovców Gdańska

Nie można negocjować z ludźmi, którzy urządzają demonstracje uliczne, bo władze odpowiadają za bezpieczne trwanie państwa polskiego

(CIAŁ DALSZY ZE STR. 2)

Imi jedzą na nimi i je gaszą. Przypadkowo, czy nieprzypadkowo napisał do mnie w ubiegłym roku, po wyjściu z internowania jeden z działaczy „Solidarności” z Nowego Sącza, któremu nie wiem dlaczego, wzięło się na srogi i zaczął opisywać swoją działalność, w grupie, która jeździła po kraju i organizowała strajki. Jeżeli ci krzykaczka zechcą np. taki list przeczytać, to ja mogę im dać taki list. W szeregu opisywałem każdą fabrykę jak się ten strajk odbywał. Chce także stwierdzić, że jest prawdą, że w niektórych wypadkach pan Wałęsa gasił strajki, ale pokażcie mi jakiś dokument, który by pozostał na wiecze czasu, że „Solidarność”, czy kierownictwo „Solidarności” publicznie uchwalilo wezwanie do przerwania strajków gdziekolwiek, nie odejście się od strajku. A każdy strajk był organizowany pod szyldem „Solidarności”. 31 października prasa opublikowała informację, że przewodniczący szczeblujskiej „Solidarności” — Marian Jurczyk na spotkaniu w Trzebiatowie nazwał posłów i rząd zdrajcami narodu polskiego i nawoływał do stawiania szubienic i organizowania skansenów dla komunistów. Prokuratura wszczęła śledztwo. 4 listopada odbyło się w Warszawie spotkanie Jaruzelski — Głomp — Wałęsa w sprawie powołania Rady Porozumienia Narodowego. Jeszcze nie wiedzieliśmy — przypomniał wicepremier — że „Solidarność” nie przystąpiła do porozumienia, któremu początek miało dać owo spotkanie. W Gdańsku zakończyli się dwudniowe obrady Krajowej Komisji. W podjętych uchwałach dominował nurt konfrontacji. Ustalono, że jeżeli w ciągu trzech miesięcy rząd nie podejmie proponowanych przez „Solidarność” rozwiązań w sferze gospodarczej i społecznej, zorganizowany zostanie strajk generalny. Wyjazd Wałęsy na spotkanie z premierem spotkał się w czasie posiedzenia Prezydium Komisji Krajowej z ostrą krytyką. Wołano, że diabeł Jaruzelski nie przyjechał, a on powinien do nas przyjechać, a nie ty Lechu powinien jechać do Warszawy. No i Jaruzelski przyjechał, ale kilka tygodni później, 16 listopada Rada Ministrów stwierdziła, że wezwanie do spokoju społecznego jest nadal ignorowane. Prowokowane są ekscesy o charakterze politycznym, mnożą się akcje ulotkowe świadące o pogotewiu tendencji wrogich idej porozumienia narodowego. Decyzja Krajowej Komisji podjęto ogólnopolską akcję nacisku na oficjalne środki masowego przekazu, zmierzającą do niekontrolowanego korzystania przez „Solidarność” z radia i telewizji. Specjalne ekipy, kierowane z poszczególnych regionów, a składające się ze studentów, a nawet uczniów szkół średnich, wykorzystane zostały do malowania na murach, parkanach, elewacjach budynków hasła o treści antypaństwowej i prowokacyjnych. Nie oszczędzono zabitych budowli, a wszelkie ingerencje władz administracyjnych określano oczywiście jako atak na związek. W Lublinie „Solidarność” wezwala do strajków uczniów szkół średnich. Był to jeden z bardziej, trzeba to powiedzieć, haniebnych kroków, na które zdobył się tamtejszy region. 22 listopada Lech Wałęsa, zmieniając swe poprzednie stanowisko oświadczył, że gdyby „Solidarność” zgodziła się na przystąpienie do Frontu Porozumienia Narodowego, byłaby tam jedną z wielu sił społecznych, a ona musi być przodująca, 24 listopada Komisja Krajowa „Solidarności” w Ponor Żywiec, Dolemlu i kilku innych zakładach wrocławskich podejmuje działania na rzecz usunięcia z terenu zakładów komitetów zakładowych PZPR. Taki był kolejny etap walki z PZPR. W Wyższej Szkole Oficerów Pozamiatowa w Warszawie, podległej resortowi spraw wewnętrznych, proklamowano strajk okupacyjny. Kierował nim przybyły z zewnątrz przedstawiciel regionu Mazowsze, wiceprzewodniczący Seweryn Jaworski, który wcześniej sterował strajkiem w Żyrardowie. „Solidarność” podtrzymuje także postulat kontroli magazynów i rezerw państwowych. Rząd w tym czasie zapowiada przedstawienie Sejmowi projektu ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu, w związku z pogarszającą się sytuacją gospodarczą i polityczną kraju. „Solidarność” mówi, że odpowie na to groźbą strajku generalnego. 3 grudnia w Radomiu obradują Prezydium Krajowej Komisji i przewodniczący regionów.

Lech Wałęsa zapytany o porozumienie narodowe odpowiedział: decyzja jest na nie. Nie ma porozumienia, bo nie ma się z kim porozumieć. No a teraz pan Wałęsa mówi, że trzeba się porozumieć. Teraz widzi w nas partnera. Chce powiedzieć za późno. Zbyt wiele było wiarołomstwa, stanowisko radomskie „Solidarności” stanowiło wyraźne ultimatum wobec władz.

Uchwała oskarżała władzę o wybranie drogi przemocy, o odrzuceniu dialogu ze społeczeństwem — po wysunięciu idei porozumienia narodowego przez władzę o próbę likwidacji praw obywatelskich — po ustawicznym łamaniu prawa przez „Solidarność”. Uchwała głosi również, że „Solidarność” przystąpiła do porozumienia narodowego jeśli władze przyjmą jej warunki. Czyli — pozwoliła na utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, przejście kontroli nad produkcją i dystrybucją żywności, rychłe przeprowadzenie wyborów do organów przedstawicielskich według koncepcji opracowanych przez „Solidarność”. Zdania te oznaczały, że „Solidarność” przyłączy się do porozumienia, jeżeli rząd odda faktycznie w jej ręce władzę. Czy było to stanowisko negocjacyjne, czy konfrontacyjne? Chce powiedzieć — podkreślił wicepremier — że wszystkie te fakty, które tu cytuję, zaczęły się od dokumentów oficjalnych „Solidarności”. Tu nie ma z niewiarygodnych dokumentów. To wszystko można przeczytać, tylko trzeba czytać, aby się dowiedzieć prawdy, bo chętnie się zapomina o tym czym był

rok 1981, natomiast ogranicza się do takich właśnie jak tu, okrzyków z sali.

Popieramy decyzje radomskie, głoszący liczne telexy organizowane masowo przez działaczy antysocjalistycznej opozycji w regionach, w wielkich zakładach pracy i instytucjach — mówił dalej wicepremier. Był to cel oczywisty — by stworzyć atmosferę poparcia dla konfrontacyjnych działań ekstermy „Solidarności”. 5 grudnia radio i telewizja rozpowszechniły fragmenty nagrań, jakie w czasie radomskich obrad wykonali przewodniczący regionów i popularyzowali je w terenie. W tym miejscu wicepremier przypomniał kilka głosów wypowiedzianych w Radomiu. Wałęsa: „konfrontacja jest nieunikniona i konfrontacja będzie”. Kuroń: „polem konfrontacji powinna być sprawa wyborów i ordynacji wyborczej. Totalna negacja tzw. przewoźników rządowego oraz stanu wyjątkowego w sensie negowania tego stanu — dodał w tym miejscu M. F. Rakowski, cytując dalej: również władze trzeba wpuszczać w różne tematy, rozdyktować gminy i miasta, chłopów napuszczać na urzędników. Niech zajmują urzędy gminne. Fraszynki: trzeba budować i rozbudowywać aparat związkowy, który w przyszłości zajmie stanowiska w administracji.

Bujak: społeczną radę gospodarki narodowej trzeba powołać natychmiast, będzie to coś na kształt tymczasowego rządu narodowego. Modzelewski: bój to będzie ich ostatni. O to do jakiego punktu doszła „Solidarność”.

Posłali z poczuciem siły. Kto dziś ją jeszcze popiera, albo nie rozumie, jest ślepy, albo jest też kompletnie zagubiony.

6 grudnia zakończyło się spotkanie delegatów regionu „Mazowsze”. Podjęto uchwałę proklamującą 17 grudnia dniem protestu. Wyjście na ulicę po prostu przewidziano. Postanowiono też w uchwale delegatów regionu „Mazowsze” powołać specjalne grupy bojowe dla ochrony wszelkich akcji podejmowanych przez „Solidarność” pod nazwą strajk robotniczy uzbrojony w pałki i kaski. Podobne decyzje podjęto m. in. we Wrocławiu i Katowicach. 17 grudnia miały zacząć się zamieszki uliczne. Zapowiedziano, że „Solidarność” poprze strajki generalne, jeżeli władza wystąpi przeciwko tym demonstracjom ulicznym. Jak wyglądał aktualny stan strajkowy 8 grudnia? Strajk okupacyjny w budynku organizacji młodzieżowych w Siedleach, strajk okupacyjny w budynku WZKIOR w Świdnicy, strajk okupacyjny w budynku Cukrowni Toruńskiej, strajk w Pomorskiej Odlewni i Emalierni w Grudziądzu. Strajk okupacyjny w budynku WK ZSL w Zamościu okupacja komieszce i urzędów miasta w Jasle, strajk SKR w Pasymiu w woj. olsztyńskim, strajk w Urzędzie Pocztowo-Komunikacyjnym w Olsztynie w woj. zielonogórskim, strajk okupacyjny w Urzędzie Gmin w Brzostku (woj. łamowski), strajk Wydziału Sprężarek Zakładów „Ponar” w Poniatołowie, strajk okupacyjny w kolejnym budynku zajmowanym przez kółka rolnicze w Lublinie, strajk okupacyjny w Czarnymstawie woj. ciechanowskiego, strajk okupacyjny pracowników transportu samochodowego w Płońsku, strajk transportu Szczecina, strajk okupacyjny w budynku spółdzielczego kombinatu rolnego w Szczecinie (woj. szczeciński). Oprócz tego utrzymywana była gotowość strajkowa w kilkuset zakładach w 31 województwach. Strajki zapowiedziano w 37 większych zakładach na terenie całego kraju. W 14 ośrodkach akademickich, w 50 uczelniach trwały strajki studenckie. 9 grudnia ogłoszona przez „Solidarność” Rada Pracownicza fabryki „Ponar — Żywiec” podjęła decyzję o wyrzuceniu komitetu partyjnego fabryki. Poszczególne ogniska „Solidarności” grza strajkiem generalnym.

11 grudnia, w piątek, pomimo licznych apelów o rozważę, region Mazowsze przygotowywał intensywnie w 17 grudnia wiec demonstracyjny w Warszawie. Podobne imprezy zapowiedziano w innych większych miastach — jako manifestacje siły i sprzeciwu wobec władzy. Przewodniczący regionu łęczyńskiego „Solidarności” poddał w wątpliwość konieczność pobytu wojsk radzieckich w Polsce. W Stoczni Gdańskiej im. Lenina rozpoczęło się dwudniowe posiedzenie Krajowej Komisji „Solidarności”, poświęcone zatwierdzeniu konfrontacyjnego stanowiska radomskiego. W sali obrad wiało grozą — powiedział wicepremier M. Rakowski. Wyglaszano buńczuczne nieodpowiedzialne wezwania do konfrontacji, do ostatecznego przejęcia władzy. Człowiek działający opozycyjnie antysocjalistycznie opowiadał się za twarzą rozwiązaniami. Spory trwały jedynie o to, czy i kiedy i terminu. Czy strajk już czy w przyszłym tygodniu, czy generalny, czy tzw. czynny, czy „Solidarność” roznieśli wybory za miesiąc czy za 6 tygodni. 12 grudnia, w sobotę, wbrew narodowym interesom Krajowa Komisja „Solidarności” odrzuciła ostatecznie platformę porozumienia narodowego. W czasie obrad doszło do eskalacji oskarżeń w stosunku do władz i ustroju PRL. Chociaż niektórzy eksperci, co trzeba odnotować, przestrzegali członków Krajowej Komisji przed polityką konfrontacji, dokumentowali, że władza nie jest wcale taka słaba, jak starają się to przedstawiać ekstremalni działacze. Większość pozostała głucha na te głosy rozsądki. Ostateczna uchwała Krajowej Komisji opiera się na stanowisku radomskim, a więc stanowi ultimatum wobec władz i społeczeństwa. Stwierdzono, że uchwalenie ustawy o związkach zawodowych bez i w czymkolwiek odbiegającej od stanowiska „Solidarności” i przynajmniej rządów specjalnych pełnomocnictw, spowoduje strajk generalny. Uchwalono też powołanie komisarzy ds. referendum na temat systemu sprawowania władzy. Przyjęto oświadczenie

podające totalnej krytyce funkcjonowanie państwa. Komisja Krajowa, najwyższa pomiędzy władzami NSZZ „Solidarność” postawiła się w ten sposób ponad Konstytucję i prawem. Jednocześnie postawiła na konfrontację. Obrady zakończono po północy i nawoływano działaczy do natychmiastowego wcielenia ich w życie.

13 grudnia przed mikrofonami Polskiego Radia wystąpił gen. armii Wojciech Jaruzelski informując o ukonstytuowaniu się Wojtkowej Rady Ocalenia Narodowego i wprowadzeniu, decyzją Rady Państwa, stanu wojennego na obszarze całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Okres anarchy dobiegł końca. Położono kres sytuacji, która wiodła naród polski i państwo polskie do przepaści. Nie spełniły się sny i marzenia kontrrewolucjonistów.

Tak trzeba było powiedzieć. Innych słów, po tym co tutaj przytoczyłem, użyć nie można. Stan wojenny został wprowadzony po to, aby Polska była Polską!

Może paść zarzut, że straszczenie podaniem fakty. Nie. To, co przytoczyłem, to za ledwie jedna setna, albo może jeszcze mniej faktów, które miały wówczas miejsce: faktów destrukcyjnych.

Po grudniu 1981 r. wielokrotnie padał zarzut, że to my, władze, zniszczyliśmy „Solidarność”, piękną ideę, piękny odzwierciedlenie. I teraz chciałbym — powiedział wicepremier zwracając się do grupy krzykaczy — prosić was żebyście przez chwilę nie gwizdali bo chce powiedzieć, co myślenie o tym przyczyn, dla których „Solidarność” zesłała z kart historii najnowszej. Otóż po grudniu 1981 r., powtarzam, wielokrotnie padał zarzut, że to my, władze, zniszczyliśmy „Solidarność”, piękną ideę, piękną, odzwierciedlenie. To nie jest prawda. Chce aby usłyszeli to wszyscy ci, którzy do dziś wzdychają za taką „Solidarnością” jaka była. „Solidarność” została zniszczona przez ekstremistów, przez ludzi, którzy z różnych powodów stali się jawnymi wrogami socjalizmu. „Solidarność” niszczyła się i niszczyła się sama. W tym samozniszczeniu — podkreślił wicepremier — trzeba to powiedzieć mają swój udział także ci, którzy biernie przyglądali się straceniu działalności tego związku. Ci którzy z nienawiścią traktowali tych synów robotników i chłopów, którzy dzięki Polsce Ludowej wyszli na inteligentów i stali się także członkami PZPR i władz państwowych i gospodarczych różnych szczebli. Oskarżam ekstremistów, którzy ją popierali o zniszczenie ruchu, który mógł odegrać pozytywną rolę w dziejach polskiego socjalizmu.

Chcę podnieść kolejny problem. Opozycja lansuje od dawna tezę, że władze od chwili powstania „Solidarności” niosły się z zamiarem jej zlikwidowania. Jest to badźne oskarżenie, nie oparte na żadnych faktach. Stan wojenny, który doprowadził do zawieszenia wszystkich związków i spowodował izolację kilku tysięcy najbardziej agresywnych działaczy „Solidarności” mógł być, obiektywnie rzecz biorąc, wprowadzony znacznie wcześniej. Można było np. wprowadzić go po pierwszej części zjazdu „Solidarności”, kiedy już wiadomo było w jakim jednoznacznie kierunku podąża kierownictwo tej organizacji. Można było także wcześniej, np. w marcu, gdy zapowiedziano strajk generalny, zresztą można było tak zastosować się we wrześniu lub w listopadzie 1980 r. przy sprzocie o rejestrację. Nie uczyniono tego z prostych przyczyn. Istniało głębokie przekonanie, że „Solidarność” będzie ruchem konstruktywnym, że występujące dewiacje są przejściowe. Z takiego, a nie innego założenia wychodziliśmy dokonując w ciągu roku 1981 kolejnych ustępstw, decydując się na wiele żądań, które miały dla gospodarki niekorzystny skutek.

Nie wykluczam, że kiedyś historycy oskarżą nas o nadmierną uległość w sytuacji, kiedy gospodarka polska unadala, a pozycja kraju na świecie nie zależy od waszych krzyków, ani od waszych gwizdów. Nie od waszych gwizdów będzie zależała pozycja Polski na świecie, tylko od tego co wypracują miliony ludzi. Za naszą słabość trzeba uznać niedocenianie przez nas siły przeciwnika, jego zdolności do przenikania w szeregi ludzi pracy, ale jest też fakt, że zawsze liczyliśmy na mądrość i dojrzałość klasy robotniczej i uważam, żeśmy się nie zawiedli w ostatecznym rachunku, bo jak powiedziałem już na wstępie, nie wyjdę ja jesterem pepekkiem Polski, albo nie tworzyć pepka Polski, daleko wam do tego — powiedział wicepremier zwracając się do krzykaczy. W Polsce pracują miliony ludzi, pracują spokojnie dzień w dzień i nie gwizdają.

A teraz kilka słów na temat tego co o odniesieniu do „Solidarności” nastąpiło po 13 grudnia.

Wojciech Jaruzelski ogłaszając wprowadzenie stanu wojennego, wyraził nadzieję, że robotniczy nurt w „Solidarności” w naszym interesie, odsunie od siebie prowokatorów konfrontacji i kontrrewolucji. Czy tak się stało? Tak się nie stało. Lecz ta nadzieja była przyczyną poszukiwania również po 13 grudnia dróg rozwiązania powstałego konfliktu na drodze porozumienia ze zdyktowymi siłami „Solidarności”. Przypomnę, że tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, pojechałem do pana Wałęsy, którego zresztą w pierwszych dniach nie traktowaliśmy jako internowanego; żył on w warunkach wcale nie najgorszych, w pałacu Otoczkim, w Arłamowie. Otóż pan Wałęsa nie chciał w ogóle ze mną rozmawiać. 22 lutego, kontynuując próbę dotarcia do tych sił w „Solidarności” które nazywaliśmy zdrowymi, Komitet ds. Związków Zawodowych ogłosił platformę do dyskusji na temat roli związków zawodowych w ustroju socjalistycznym. Radzę zajrzeć do tego dokumentu. Jaka była odpowiedź przywódców „Solidarności”? Bojkot dysku-

sji, potem otwarcie fazy działalności w podziemiu, wreszcie demonstracje uliczne. Tego rodzaju akcje były kolejnym krokiem na drodze do samozniszczenia i przekreślenia swojej roli w życiu narodu. Nie można było negocjować z ludźmi — podkreślał to wyraźnie — którzy urządzają demonstracje uliczne, bo władza odpowiada za bezpieczne trwanie państwa polskiego i za bezpieczne życie społeczeństwa. Dopiero więc, kiedy okazało się, że w „Solidarności” siły porozumienia są za słabe, aby odnowić te ograniczenia, Sejm — w październiku — przyjął ustawę o związkach zawodowych. Powstały nowe związki, zgodnie z zapisem zawartym w porozumieniu gdańskim.

Nie ma dziś w życiu politycznym kraju miejsca na negocjacje z działaczami rozwiązaniem związku. Ustawa sejmowa rozwiązała wszystkie związki. Istnieją nowe związki zawodowe, ale nie partia polityczna. Jesteśmy przekonani, że przedzielić się później związki te staną się masowe — zobaczcie, że staną się masowe — dodał wicepremier — że znajdują w nich także miejsce członkowie rozwiązanej „Solidarności”. Zresztą już dziś większa część nowych związków to członkowie „Solidarności”. Ważna i ważąca rola nowego ruchu związkowego będzie rosła. Władze nowych związków są wybierane demokratycznie i niezależnie. Programy działania uchwalane są najbardziej demokratycznie na świecie. Nowe związki reprezentują wole swoich członków. Kto do nich wstąpił ma wpływ, a kto nie wstąpił, ten sam siebie wyklucza z kształtowania nowego ruchu związkowego.

Jesteśmy w przededniu trzeciej rocznicy podpisania porozumienia, powstałych w trudnym, napiętym klimacie. Dyskusje były burzliwe, ale były to dyskusje, rozmowy. Dziś obchodzimy to rocznicę i obchodząc będziemy w kontynuowanym dialogu z klasą robotniczą w realizowaniu programu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Program ten wyrósł z doświadczeń, jakie partia gromadziła w sierpniu i po sierpniu. Jest to program który wyrastał z uzasadnionych dążeń klasy robotniczej, objawionych wówczas w robotniczym protestie w lipcu i sierpniu 1980 r. Ten program będziemy realizować i nikt nas z tej drogi nie zepchnie. Nawet największe kryki! A jaka forma uczczenia trzeciej rocznicy podpisania porozumienia proponuje nam podziemie „Solidarności”? Jakaś tajna komisja, czy wręcz Lech Wałęsa Bojkot miejskich środków komunikacji: no cóż, jeśli ludzie posłuchają, to trochę mniej pieniędzy wpadnie do kas miejskich. Nie jest to groźne zjawisko; ostatecznie spacer przy takiej wspaniałej pogodzie widzieć wszystkich na zdrowie, ale z politycznego punktu widzenia propozycja bojkotu miejskich środków komunikacji, może służyć jedynie tym, którzy są zainteresowani tym aby o Polsce pisali na całym świecie, że nadal w kraju jest niespokój. Bo to na pewno pomaga autorytetowi Polski na świecie — dodał z ironią wicepremier. No ale jest i inna propozycja: tzw. zółwie tempo pracy. A to jest już co innego niż spacer po mieście.

W swoim oświadczeniu rozesłanym tutaj w stoczni — kontynuował mówca — pan Lech Wałęsa mówi, że pomysł zółwiej pracy też nie wyszedł z jego ust. W wydawie dla AFP — Francuskiej Agencji Prasowej powiada — nie ja proponowałem, ale podporządkowuję się tym decyzjom: ja le tylko poparłem. A więc wynika z tego, że jednego zółwia mamy już na sali.

Co w praktyce mogłoby oznaczać przyjęcie zółwiego tempa pracy. Co oznacza wezwanie do zółwiej pracy? Na pewno ukaranie kogoś. Ale kogo? Rządu, na pewno tak, ale tylko wówczas gdy uznamy, że rząd jest taki samą częścią narodu polskiego, jak śledzący tu w tej sali. Niech ktoś spróbuje mnie obrazić, że nie jestem równorzędnym Polakiem jak ci, którzy krzyczą! Propozycja zółwiej pracy to nie ino, jak chęć ukarania wszystkich Polaków. Może za to, że nie chce iść na barykady! Może za to, że tak bardzo pragnie aby Polska jak najszybciej wyszła z kryzysu. To wezwanie jest żalosnym poniesieniem. Wybływa z poczucia przegranej, bo to jest przegrana: wezwanie do zółwiej pracy w czasie głębokiego kryzysu. To jest przegrana moralna, ale to jest przegrana faktyczna, bo od wczoraj burzliwa prasa żalosnie pochłupie i beczy, że nie nie wyszło z tego wezwania. Na 40 robotników zapytanych, przez naszych dziennikarzy, tylko trzech dziennikarzy zgodził się — możecie sobie posłuchać tego jeżeli „Wolna Europa” powie — 4 powiedział, że owszem pracowali wolniej. Ale może oni z natury pracują tak wolno? Bo jeszcze dużo takich jest w Polsce. Za takie stanowisko, wyrażone przez miliony pracowników Polaków, którzy nie zamierzają zółwym krokiem nosować się w kierunku zmocnienia opozycji Polski w świecie i poprawy materialnej, składam wszystkim serdeczne podziękowanie nie tylko w imieniu rządu, lecz milionów moich rodaków rozsianych po całej Polsce, w imieniu milionów trudzących się, zabiegających i często dotkliwie odczuwających skutki kryzysu obywateli. Przedstawiłem nam tylko swój punkt widzenia, lecz rządu, którego jestem członkiem. Mogę założyć i zakładam, że nie wszystkim ojdzie w smak to co powiedziałem. Wskazuje na to zorganizowana grupa. Ale sadzę, że czas nie są takie, abyśmy musieli owijać w bawełnę to, co mnie i moim współtowarzyszom leży na sercu. Mnie, moim współtowarzyszom i milionom Polaków. Było w tym co powiedziałem sporo historii. Dlaczego? Ano dlatego, że aby zrozumieć dzisiejsze problemy trzeba przypomnieć przeszłość, bo do niej jest wielu przyczyn, ale jednocześnie pamięć ludzka jest zawodna, szybko zapomina, a zwłaszcza wymazuje to co było niedobre, niekorzystne — stwierdził na zakończenie wicepremier M. F. Rakowski.

Zakończenie rozmów polsko-kubańskich

(CIAŁ DALSZY ZE STR. 1)

cia będzie brzemienne w skutki nie tylko w odniesieniu do krajów tego ko tymentu. Zwiększy się przez to groźba konfliktu o wymiarze światowym. Dlatego — trzeba podjąć wszelkie wysiłki, aby plany te nie zostały urzeczywistnione — powiedział minister. Tymczasem ze strony USA istnieje wyraźna niechęć do rzeczowego obratowania na ten temat.

Do krajów szczególnie zagrożonych ze strony USA należy Kuba, na której terytorium — wbrew woli narodu — znajduje się amerykańska baza wojskowa. Nie wiemy nawet, powiedział minister, czy na jej terenie nie jest składowana broń jądrowa. Wy-mownym przykładem stosunku USA do Kuby jest zapowiedź utworzenia rozgłośni nadającej audycje wymierzone przeciw temu krajowi. Jeśli dojdzie do uruchomienia tej rozgłośni nie pozostaniemy bierni i odpowiemy na ten krok — oświadczył minister.

Przechodząc do osmy stosunków polsko-kubań-

skich. Isidoro Malmierca Peoli podkreślił, że mają one długie tradycje i cechuje je dobra wola obu stron do ich dalszego rozwijania we wszystkich dziedzinach. Rozszerzyć należy o np. handel. Powinno także zwiększyć się wymiana osobowa pomiędzy obydwojema krajami.

WARSZAWA (PAP). 26 bm. wicepremier Zbigniew Mąder przyjął przebywającego z oficjalną wizytą w Polsce ministra spraw zagranicznych Republiki Kuby Isidoro Malmierce Peoli.

Tematem rozmowy były zagadnienia związane ze stanem polsko-kubańskiej współpracy gospodarczej oraz perspektywami jej dalszego rozwoju. Omówiono możliwości wzrostu wymiany handlowej między Polską a Kubą, podkreślając znaczenie jakie ma ona dla obu krajów. Sprawdzone z Kuby towary sytuacja poprawie zaopatrzenia rynku w artykuły konsumpcyjne. Polska natomiast bierze udział w rozbudowie przemysłu kubańskiego.

W rozmowie wziął udział wiceminister spraw zagranicznych Józef Włodarczyk. Obieci byli ambasadorzy obu krajów — Stanisław Jastrzębski i Quintin Pino Machado.

Kraków: Wyż demograficzny

rator wspominał o braku nauczycieli, co zmusza do zatrudnienia w szkolnictwie osób niewykwalifikowanych, które wraz z podjęciem pracy zdobywają pedagogiczną wiedzę. Wyż demograficzny dotarł do szkół. Liczba uczniów w nadchodzącym roku szkolnym wzrośnie w województwie o ponad 6.500, głównie w dzielnicach Krakowa. Do klas pierwszych pójdzie blisko 20 tys. uczniów, o 1420 więcej niż w ubiegłym roku. Otwarte zostaną trzy nowe szkoły, a 34 punkty filialne będą zamienione w samodzielne ośmioklasowe placówki. Ciagle mało, bo tylko 47,4 proc. dzieci w wieku przedszkolnym objęto opieką przedszkolną, w tym wszystkie 6-latki. W nadchodzącym roku szkolnym rozpocznie się budowę 5 kolejnych szkół i tyłu przedszkoli.

Sekretarz KK PZPR Kazimierz Augustynek mówił o systemie wychowawczym szkoły w kontekście reformy politycznej, gospodarczej i społecznej. Oczekuje się tu inwencji szczególnie od organizacji partyjnych, skupiających około 25 proc. nauczycieli.

„W nadchodzącym roku szkolnym dużą wagę będziemy przywiązywać do jakości pracy dydaktyczno-wychowawczej szkół” — mówił minister Bolesław Faron — „będę zawsze walczył o honor i godność dobrego nauczyciela, ale sumienie nauczycielskie nie pozwala mi bronić złego pedagoga”. Do Ministerstwa Oświaty i Wychowania napływa dziennie około 100 listów na temat jakości pracy nauczycieli, najczęściej od rodziców i uczniów. Część z nich, to anonimów. Nie do wszystkich przywiązuję się znaczenie, lecz — jak stwierdził minister — są one materiałem obnażającym mankamenty szkół. Główna odpowiedzialność za pracę dydaktyczno-wychowawczą spada na dyrektora szkoły, który, kierując się opiniami rady pedagogicznej, winien jednak skupiać pełną wagę wykonawczą. „Chcemy wychowywać młodych ludzi zbuntowanych przeciwko temu, co robimy źle” — mówił minister — „jednak muszą oni mieć świadomość, że żyją w środowisku Europy, w państwie socjalistycznym”.

Minister mówił też o podwyżkach nauczycielskich pensji, przeciętnie o 2 tysiące zł, wprowadzonych 8 sierpnia br. Przedstawił udane próby uzupełniania zespołów nauczycielskich przez przyłączanie do szkół absolwentów różnych uczelni i ludzi, którzy w poprzednich latach odeszli od zawodu nauczycielskiego. Omówił problem niedostatku podręczników, których produkuje się jednak już znacznie więcej i inne sprawy szkolnictwa.

We wczorajszej konferencji uczestniczyli m. in. st. inspektor Wydziału Oświaty i Nauki KC PZPR Helena Kosińska, przedstawiciel organizacji polityczno-społecznych i młodzieżowych, dyrektorzy szkół i nauczyciele. (km)

Nowy Sącz: w części szkół nadal gospodarują budowlani

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

byli nabyt elitarni, chociażby ze względu na większą ilość miejsc w szkołach, niż ubiegających się o przyjęcie. Widać, że wzrost zainteresowania młodych niektórymi typami zasadniczych szkół zawodowych (specjalności: sprządawca, mechanik samochodowy, kucharz, kelner), dającymi w późniejszej pracy większe korzyści przy mniejszym nakładzie pracy (szkolnej). Mniej zainteresowanie jest nauką w liceach ogólnokształcących, choć ich ranga jest systematycznie odbudowywana i na szczęście wzrasta. W nowym roku szkolnym około sześć tysięcy młodych ludzi uczyć się będzie w 16 liceach ogólnokształcących, które prowadziły będą o dziesięć oddziałów więcej, niż w minionym roku szkolnym.

Poważny problem nowosądeckiego szkolnictwa nadal stanowić będą kadry. O zasymalowanych tu, a również wielu innych sprawach, związanych ze zbliżającym się nowym rokiem szkolnym, dyskutowano podczas narady inspektorów oświaty i wychowania, gminnych dyrektorów szkół, dyrektorów szkół ponadpodstawowych oraz pracowników nadzoru szkolnego, która pod przewodnictwem kuratora oświaty i wychowania Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu Lechosława Miksa odbyła się wczoraj w Zespole Szkół Samochodowych w Nowym Sączu. Wśród jej uczestników byli również gospodarze regionu: I sekretarz KW PZPR Józef Brożek i wojewoda nowosądecki Antoni Rąkosz oraz przedstawiciel Ministerstwa Oświaty i Wychowania Mieczysław Cich. (ed)

Kronika dnia

Przedstawiciele ZW ZMW u prezydenta m. Krakowa T. Salwy

Prezydent miasta — Tadeusz Salwa, przyjął wczoraj przedstawicieli Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej z urzędującym wiceprzewodniczącym — Włodzimierzem Czekajem.

Goście przedstawili aktualne problemy organizacji oraz najbliższe plany. Poinformowali między innymi o pobycie młodzieży wiejskiej w NRD Pracowała ona przy zbiorze owoców. W Czekaj, który pełni funkcję komendanta obozu, podkreślił gościnność gospodarzy i znakomitą, zdyscyplinowaną postawę uczestników. Mówiono też o rozpoczynającej się 2 września br. konferencji naukowej z okazji 55. rocznicy utworzenia ZMW RP „Wici” (organizowanej wspólnie z Uniwersytem Jagiellońskimi i pod patronatem rektora prof. Józefa Gierowskiego), a także o tegorocznych obchodach

„święta plonów” przez koła gminne ZMW.

Prezydent T. Salwa, wysoko oceniając pracę młodzieży przy żniwach, jak również starania młodych rolników o coraz wyższe plony — przyrzekł ułatwić produującym rolnikom zakup maszyn.

Energetyczne problemy Krakowa

Przebywający od czwartku w Krakowie, główny inspektor gospodarki energetycznej — Jerzy Wójcicki, spotkał się wczoraj z prezydentem miasta — Tadeuszem Salwą. Podczas rozmowy w której uczestniczyli również: okręgowy inspektor gospodarki energetycznej w Krakowie Henryk Kaczmarek oraz dyrektor Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta — Krzysztof Szlenk, omawiano ważne problemy dostaw dla wojewódwa odpowiedzialności paliw. Podjęto m. in. uzgodnienia odnośnie wystarczającego zaopatrzenia rolników i ciepłowni miejskich w węgiel przed zimą. Ustalono też, że główny inspektor gospodarki energetycznej na zasadzie wyjątku rozpatrzy możliwość wydania zezwolenia na ogrzewanie gazowe pałacu w Krzeszowicach.

Ponadto minister J. Wójcicki interesował się budową ciepłowni gazowej dla szpitala w Myślenicach, a także problemem ogrzewania zabytowych domów w dzielnicy Kazimierz.

